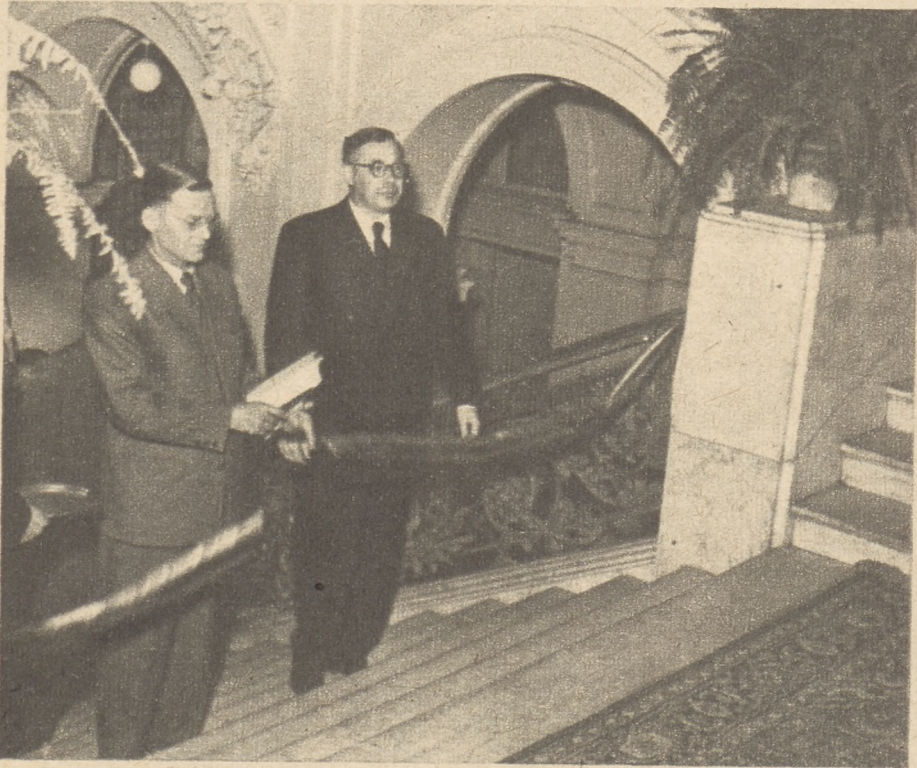




WYSTAWA PRAC PLASTYKÓW RADZIECKICH

TYSIĄCE MIESZKAŃCÓW WARSZAWY MAJĄ MOŻNOŚĆ ZAPOZNANIA SIĘ Z DOKŁADNIEJ SZKOLĄ PLASTYKI RADZIECKIEJ NA PIERWSZEJ W POLSCE WYSTAWIE PRAC RADZIECKICH ARTYSTÓW. JEDEN Z OBRAZÓW PT. „WYSTĄPIENIE W. I. LENINA NA III ZJEŹDZIE KOMSOMÓŁU” WYSTAWIONY W SALACH „ZACHĘTY” W WARSZAWIE.

WYSTAWA SZTUKI RADZIECKIEJ



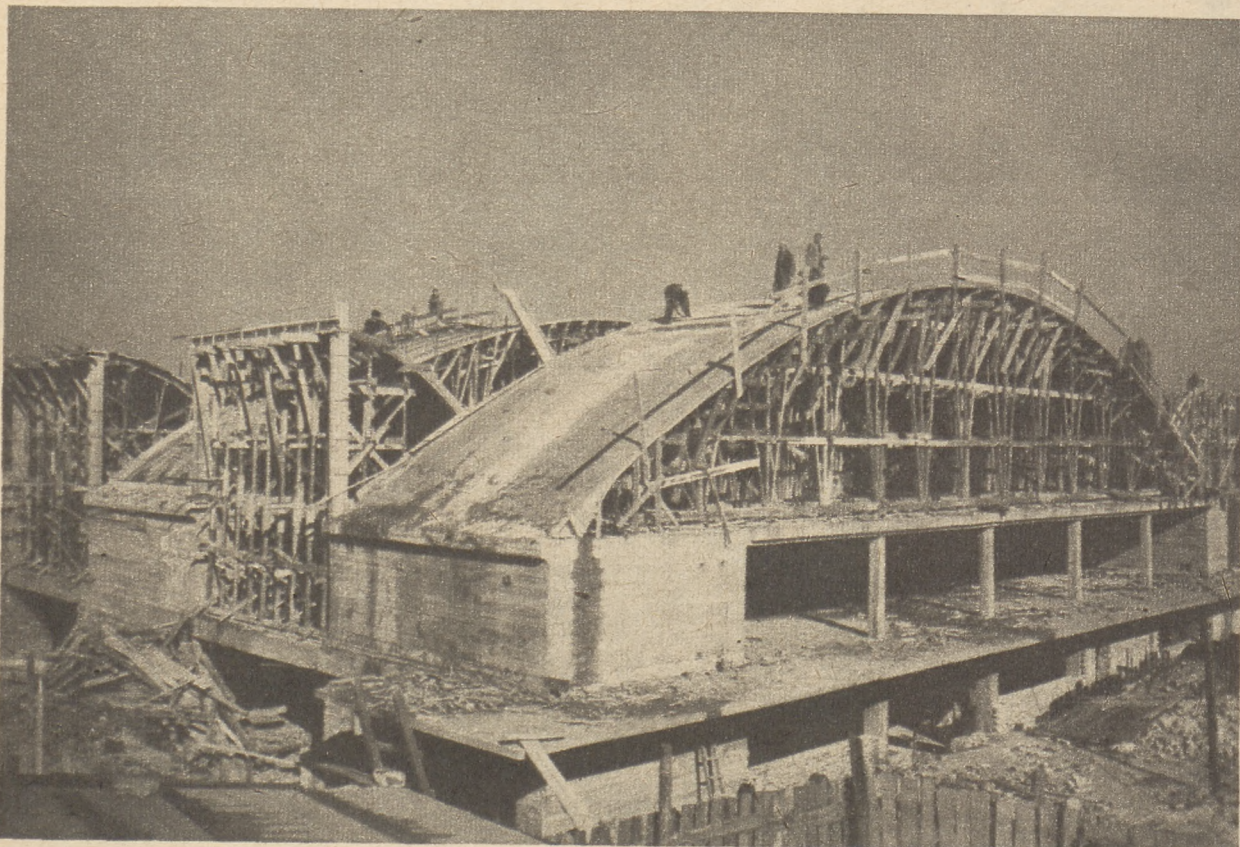
W ubiegłym tygodniu wicepremier Zawadzki dokonał otwarcia Wystawy Sztuki Radzieckiej. Mieszkańcy stolicy będą mogli zapoznać się z malarstwem ZSRR.

KSIAŻKA I PRASA RADZIECKA



Z okazji Miesiąca Przyjaźni „Dom Książki” zorganizował w Klubie Międzynarodowej Prasy wystawę, poświęconą radzieckiej książce i radzieckiej gazecie.

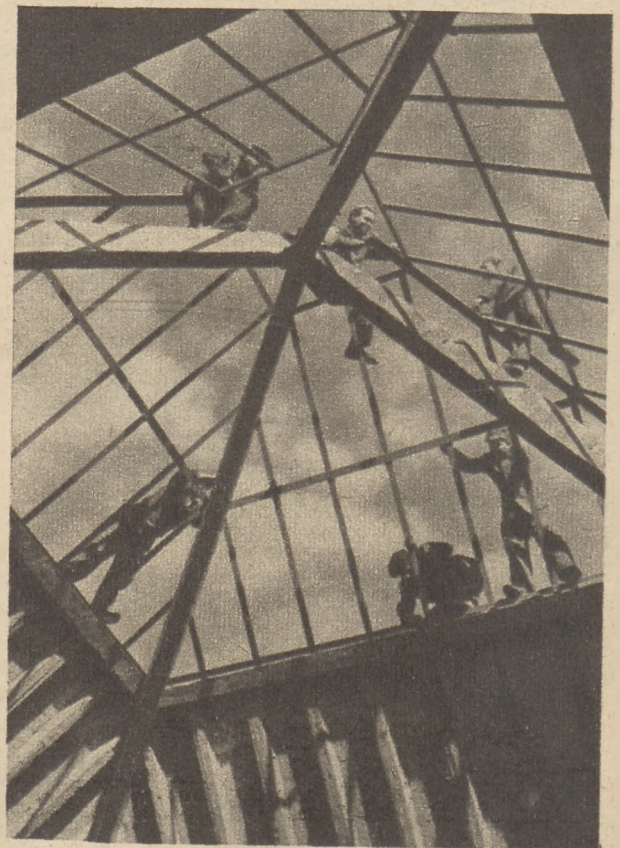
WIELKA HALA TARGOWA



Na Ochocie buduje się wielką halę targową. Budowa szybko postępuje naprzód. Nowa hala na

przedmieściu stolicy usprawni zaopatrzenie ludności Warszawy w artykuły pierwszej potrzeby.

POD DACHEM



W Borku Fałęckim rozbudowuje się fabrykę armatur. Ta ażurowa krata, to fragment szklanego dachu.

NOWY MOST W PRADZE



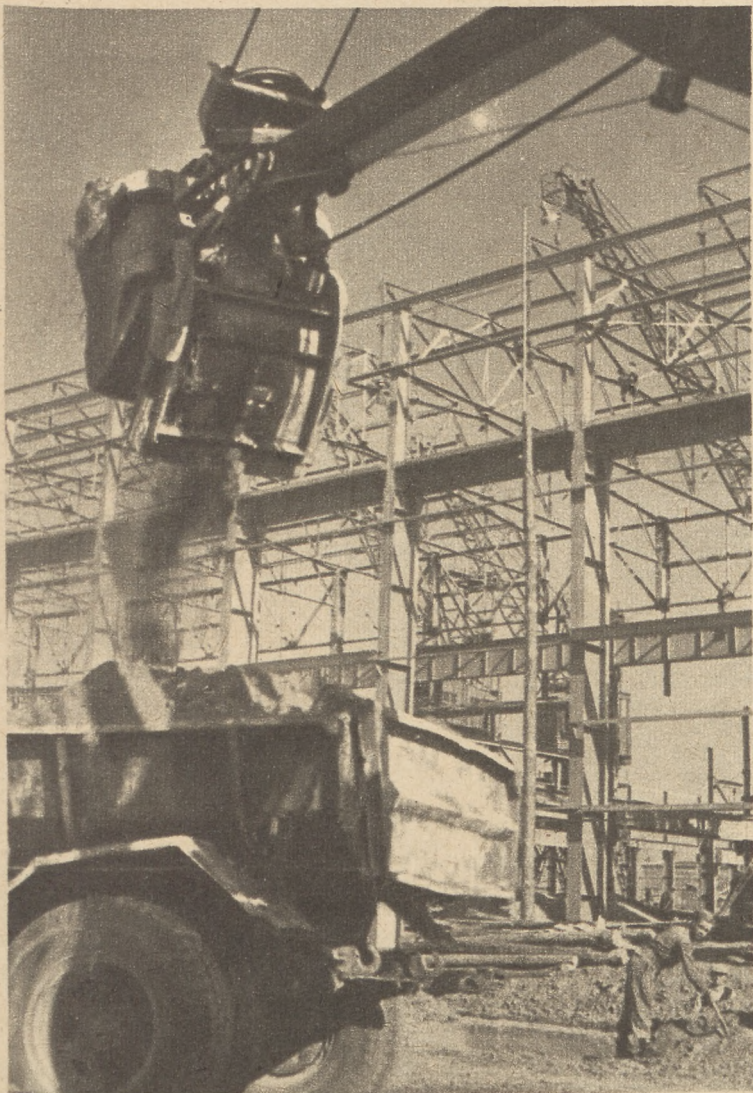
W stolicy Czechosłowacji, odbyła się uroczystość oddania do użytku publicznego, nowego mostu. Przecięcia symbolicznej wstęgi dokonał prezydent miasta dr Wacław Vacek, nadając mostowi imię Jana Svermy, bohatera walk wyzwoleniczych proletariatu czechosłowackiego. (Zdjęcie CTK).

O ROZEJM W KOREI



Oficerowie łącznikowi armii ludowo-koreańskiej i amerykańskiej udają się do Panmunżon, celem omówienia terminu wznowienia rokowań na temat rozejmu w Korei. (Zdjęcie AP).

NA APEL ZAŁOGI ŻERANIA



Tysiące budowniczych Nowej Huty odpowiadają na apel Żerania. Czyn Październikowy przyspiesza wzrost rusztowań nowego miasta.

LUDZIE RADZIECCY PODPISUJĄ APEL POKOJU



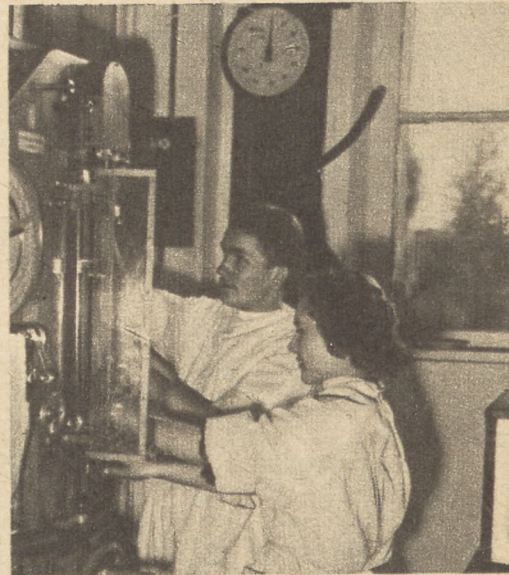
Ludzie radzieccy sieją, orzą, budują, uczą się dla pokoju. Oto właśnie kółchoźnica z kółchozu „Bolszewik” w okręgu moskiewskim O. Krinkina składa podpis pod Apelem Pokoju.

NOWA KOKSOWNIA



W Zdzeszowicach uruchomiono koksownię, która produkować będzie koks najwyższej jakości, przeznaczony dla naszych hut.

MŁODE KADRY CHEMII



W Przemysłowej Szkole Chemicznej w Bydgoszczy kształcą się kadry pracowników dla rozwijającego się przemysłu chemicznego.

PRZECIWKO OKUPANTOM BRYTYJSKIM



Tłumy Egipcjan demonstrują w Kairze, domagając się wycofania wojsk brytyjskich ze strefy kanału Sueskiego. Demonstracje odbywają się w całym Egipcie. Od kul brytyjskich padło wiele osób.

ZWYCIĘSTWO KOMUNISTÓW WE FRANCJI



W wyborach samorządowych we Francji Partia Komunistyczna odniosła wielkie zwycięstwo, uzyskując największą ilość głosów. Oszukańcza ordynacja wyborcza pozbawiła ją jednak wielu mandatów. Jeden z przywódców KPF, Duclos wrzuca kartkę wyborczą do urny.



Fot. „Świat” — W. Prażuch

NA PUNKCIE SKUPU

Dekret o zabezpieczeniu dostaw ziemniaków dla miast, spotkał się ze zrozumieniem rzesz mało i średniorolnych chłopów. Wiejskimi drogami cią-

gną chłopskie wozy wyladowane ziemniakami. Chłopi odstawiają ziemniaki, aby robotnicy budujący dla nich maszyny byli zaopatrzeni, na zimę.

Jazda na punkt skupu rozpoczyna się wczesnym rankiem.



JADĄ WOZY Z ZIEMNIAKAMI

MICHAŁ SZULCZEWSKI. Zdjęcia W. PRAŻUCH

JEST zimny październikowy ranek. Kalinowski pogania konia...

Jeszcze raz dokonuje w myśli gospodarskiego rachunku. Cztery kwintale żyta przypadające na niego w planowym skupie dostarczył już w zeszłym tygodniu. Dziś odwozi ziemniaki i — jeżeli zdąży — załatwi sprawy podatkowe. Buraki także czekają na odwiezienie do cukrowni.

KUŁACKA CHYTROŚĆ

Koła wozu dźwięczą podskakując na sterdyńskim bruku. Na miejscu jest jeszcze chwila czasu na pogawędkę z sąsiadami. Nie wszyscy przywieźli już dziś całą przypadającą na nich ilość ziemniaków. Niektórzy ociągają się jeszcze z wykonaniem swych obywatelskich obowiązków, a są i tacy, których nie spotkasz ani na punkcie skupu zboża ani przy ziemniakach. Ci najgłośniej biadolą o nieurodzaju i gdzie tylko mogą o swej nędzy prawią.

Nie poprzestają przy tym na narzekaniu. Dla członka trójki gromadzkiej mają na stole butelkę wódki, czasem przypomnienie dawnych przysług, czasem groźbę, że „niechno czasy się zmieniają“, lub nawet propozycję jakiejś tam bezzwrotnej pożyczki... I nie tylko o własną dbają przy tym skórę.

Mało i średniorolni, a szczególnie tacy jak Kalinowski — parcelanci — znają już jednak dobrze kułacką chytrość. Znają i mówią o niej głośno. Pamiętają owe „dobre czasy“, do których wzdychają wyzyskiwacze. Nie tylko sami nie dają się nabrać na kułackie kombinacje, ale przypilnują aby bogacze dostarczyli państwu ziarno na chleb i ziemniaki na zaopatrzenie robotników.

W rodzinnym Łazowie rodzice Władysława Kalinowskiego służyli od dawna w miejscowym dworze. Ziemia jak okiem sięgnąć była przeważnie dworska. Panowie we dworze zmieniali się. Byli Rzewuscy, potem Kulikowie i kto ich tam wszystkich policzy. Zmieniali się panowie, chłopska nędza pozostawała. Dziś Kalinowski ma 3 ha ziemi, na których gospodarzy z rodzicami. Kalinowski zna już pojęcie siewnych kredytów, wie jak pomaga w gospodarce sztuczny nawóz, rozumie wpływ kwalifikowanego ziarna na wysokość plonów. Szczególnie jednak ceni sobie zyski z chowu świń. Ta sprawa to już właściwie zakres władzy starej Kalinowskiej.

To jej przede wszystkim zasługa, że w niskiej obórce stoją już 3 krowy, a w chlewie tuczą się 4 świniaki. Trzy świnię są zakontraktowane. Dwie z nich odstawi Kalinowski do spółdzielni w listopadzie, a trze-

cią w późniejszym terminie. Jeśli wyrazić się z uznaniem o jego gospodarce, wzrusza ramionami:

— Jak kto piasku w rękawach nie ma, — mówi — jak się nie boi, że go sobie przy robocie wytrzęsie to i zagospodaruje się jako tako. Nijakich tam cudowności w tym nie ma...

NA PUNKCIE SKUPU

Chwałą sobie chłopci porządek na punkcie skupu w Sterdyni. Oto przyszła kolej na Kalinowskiego. Worki z ziemniakami wędrują na wagę. Szybko ocenia się ich jakość. Urzędnik gminnej spółdzielni wypisuje kwit. Chłop zwija puste już worki i rusza do pobliskiej kasy gminnej. Tu nie trzeba już wcale czekać. Szybka adnotacja w księdze i przy stoliku obok otrzymuje się zaraz pieniądze.

Przed budynkiem spółdzielni Kalinowski przystaje i wraz z innymi chłopami przygląda się przejeżdżającemu traktorowi z POM-u. Ciągnie on dwie przyczepy wyładowane ziemniakami. Na stacji w Kosowie Lackim przeładowane zostaną na kolejowe wagony i odbędą dalszą drogę do miast i ośrodków przemysłowych. Dojdą do rąk robotników — tych, którzy w czterdziestym czwartym dzielili obszarniczą ziemię w Łazowie, tych którzy dziś produkują rolnicze maszyny i nawozy sztuczne dla podniesienia plonów z chłopskich pól.



Sąsiedzkie pogawarki i nowinki skracają oczekiwanie.



Chętna i zręczna pomoc sąsiadów usprawnia ważenie.



Wszystko poszło szybko. Jeszcze zakupy i do domu.

Z CHŁOPAMI POLSKIMI U KOŁCHOŻNIKÓW

MARIA JAROCHOWSKA

TACY POJECHALI

STANISŁAWA WOLSKA mówi spokojnie, że gdy jej te odciski z rąk zejda, drugie odgnioty już się nie zrobią. Nie będzie nigdy więcej ani orać, ani bronować, ani siał. Od śmierci męża, przez pięć ostatnich lat, ta kobieta niewielka i drobna musiała sama uprawiać swoje kilka morgów we wsi Łobzów (pow. Olkusz, woj. krakowskie).

Dzieci ile miały sił, tak jej pomagały. Pracą w domu, trochę chodząc na dorobek.

Wiele tych sił nie było. Mniej u wszystkich czworga razem niż u jednego dorosłego człowieka, skoro dziś najstarsza Nastusia dopiero ma 15 lat, a najmłodszy siedem. Ale dwunastoletni Zygmunt i dziewięcioletnia Fredzia umieją wszystko robić przy gospodarstwie i posiłki gotować nie gorzej od matki.

Stanisława Wolska wstąpiła do spółdzielni produkcyjnej nie tylko po to, aby mieć dłonie nareszcie nie obolałe i życie lepsze. Nie tylko po to, aby los swoich poprawić, ale żeby go wreszcie przełamać ku dobremu. Wstąpiła, aby jej dzieci mogły się uczyć.

Spółdzielnia wzięła sobie imię Armii Ludowej.

W ten piękny sposób pragnie w przyszłości przez bohaterstwo pokojowej pracy utrwalić pamięć bohaterstwa broni. Bo wielu partyzantów w tych właśnie okolicach walczyło z hitlerowską przemocą.

Na razie spółdzielnia jest jeszcze niewielka.

Drugiego typu, założona w marcu 1950 r., zatwierdzona w maju liczy 32 członków na 107 hektarach.

Wolska przystąpiła do niej jako jedna z pierwszych i została szybko członkiem zarządu.

Ci we wsi, którzy jeszcze nie rozumieją konieczności jej socjalistycznej przebudowy, albo rozumieć nie chcą, nie zostawili Wolskiej w spokoju. Wiedzieli, że kobieta która sama pługiem potrafi się wrzynać w ziemię, jest człowiekiem twardym i byle czym przestraszyć się nie da. Ruszyli do ataku na pozycję ich zdaniem najstabsze, na dzieci Wolskiej.

Raz Nastusia przyszła do domu zapłakana. Powiedzieli jej, że ma matkę wariatkę. Że matka siebie zgubi i swoje dzieci. Nastusia przez to nie wyjdzie za mąż, a wszyscy zaharują się na śmierć, bo każdy będzie musiał obrabiać w spółdzielni po 4 hektary sam jeden bez niczyjej pomocy.

Nim Wolska zdążyła odpowiedzieć, przekonał siostrę młodszy Zygmunt:

— Oni dlatego tak ci roztrząsali sumienie, bo chcą, żebyś u nich całe życie pracowała, żebyś u nich, a nie na własnej spółdzielni...

Spółdzielnia im. Armii Ludowej dopiero przystępuje do pracy. Znosi się cegły na budowę, kopie studnie, otrzymano 3 miliony zł. kredytów (w starej walucie).

Wolska ma pełne ręce roboty. A jednak odpoczynek sobie skracza, żeby czas znaleźć na czytanie. Po najbardziej mozolnym dniu, nie zaśnie, nim kilku stronic w książce nie odwróci. Nie tak daleko jeszcze za nią pozostały te czasy, kiedy książkę ją zwrężył za studiowanie popularnej broszury o teorii Darwina.

Tak jak starannie czyściła ziarno, aby rzucone przez nią w ziemię wyrosło niezaduszone chwastami, chce dotrzeć do prawdy nie tylko dla siebie i dla swoich dzieci.

— Ogień, który rozpałił w naszych sercach Stalin, poniesiemy między wszystkich niewiedzących — powtarza Wolska i te gorące od patosu słowa brzmią w jej ustach po prostu jak wytknięty sobie na co dzień, ale i na zawsze cel życiowy.

W końcu maja 1950 roku Stanisława Wolska wyjechała z wycieczką polskich chłopów do kołchozów Ukrainy Radzieckiej.

Najbardziej chciała się dowiedzieć, jakimi metodami chłop radziecki przebudował swą wieś z biednej na zamożną, z ponurej na szczęśliwą, z rozbitej na wspólną, własną, socjalistyczną.

JAN SENDEK ma lat 29 i pochodzi spod Jędrzejowa. Ojciec jego posiadał 2 i 1/2 hektara ziemi, nie ziemi — samych piasków.

W roku 1940 wywieziono Jana przymusowo do Niemiec na roboty. Pracował ponad siły. U „bambrów” musiał karmić, doić i oporządzać 80 krów. Kłócił się z gospodarzem, raz stołkiem się na niego zamierzył i o mało nie przypłacił tego życiem.

Po Wyzwoleniu wrócił z Niemiec z żoną i z dziećmi, ale już nie do kieleckich piachów, ale na Ziemię Zachodnie.

Dziś jest przewodniczącym spółdzielni im. Marcellego Nowotki we wsi Wilczków pow. Środa Śląska. Spółdzielnia liczy 64 członków na 520 ha.

Sendek uważa, że jest za stary, aby pójść do szkoły i martwi się tym. Bo choć na naukę nigdy nie jest za późno, choć można się dokształcać korespondencyjnie i na kursach, Sendkowi wszystkiego tego mało.

Chciałby mieć za sobą szkołę rzetelną, wieloletnią, żmudną może, ale dostarczającą mu odpowiedzi na liczne wątpliwości. Bo tęsknota Sendka za szkołą

wyraża się skłonnością do pytań, zapalem do dyskusji, potrzebą wspólnego roztrząsania problemów.

Jak organizować prace brygad w spółdzielni? Czy przewodniczący powinien pracować również fizycznie? Jak obliczać dniówkę obrachunkową np. kołowski?

I gdy ktoś żartuje z tej namiętności do rozważań, wysoki Sendek o młodej twarzy i olbrzymich rękach odcina się popędliwie, ale bez złości.

— Przez lepszą pracę zwiększa się wydajność ziemi, a każdy metr pszenicy więcej i każdy metr ziemniaków przybliża socjalizm. W końcu maja 1950 r. Jan Sendek wyjechał z wycieczką chłopów polskich do kołchozów Ukrainy Radzieckiej. Najbardziej interesowała go organizacja pracy w kołchozach, normy dniówek obrachunkowych i obowiązki zarządu kołchozu.

JAKUB OLSZOWY i **IGNACY MAREK** są gospodarzami indywidualnymi. W ich wsiach nie ma spółdzielni produkcyjnych. Przemysławice, gdzie mieszka Marek, w gminie Kozłów pow. Miechów, liczą 175 domów na 803 ha. Władysławów Olszowego w pow. chełmskim składa się z 36 rodzin na 330 ha. Pięciu z nich jest gotowych założyć spółdzielnię. Reszta jeszcze się waha.

Różne mają wątpliwości podsypane albo zgola wzniecone z nienawistną gorliwością przez wrogów klasowych. Jedno z najpoważniejszych to zagadnienie maszyn. Czy takie maszyny, które w Związku Radzieckim odejęto ludziom najcięższą robotę nadają się do naszych upraw? A jeśli nawet, to co będzie z nawozem? Maszyna przecież nawozu nie daje. Z drugiej strony koń to najgorszy zjadacz chłopa. „Robi w polu, czy nie robi, musi się go żywić”.

W końcu maja 1950 r. Jakub Olszowy i Ignacy Marek wyjechali z wycieczką chłopów polskich do kołchozów Ukrainy Radzieckiej.

Najbardziej zależało im, by na własne oczy zobaczyć i ocenić rolę mechanizacji w rolnictwie radzieckim.

Wyjechało ich wszystkich razem 230 delegatów polskiej wsi. Z różnych województw i kilkudziesięciu powiatów, kobiet i mężczyzn, osób zupełnie młodych, w sile wieku i w wieku podeszłym, chłopów o różnych usposobieniach, rozmaitym sposobie myślenia i różnorodnych kolejach losu. Byli to członkowie i przewodniczący spółdzielni produkcyjnych, gospodarze indywidualni, pracownicy POM-ów, w olbrzymiej większości ludzie biorący czynny udział w przebudowie wsi polskiej. Jedni z nich, najliczniejsi, mieli już za sobą najtrudniejsze początki tworzenia spółdzielczości, drudzy stali u progu walki o zmianę oblicza polskiego rolnictwa, jeszcze inni rozważali sprawę własnego udziału w tych przemianach.

Było ich tylko dwustu trzydziestu, ale reprezentowali setki tysięcy chłopów polskich.

Spółeczność gmin, gromad, spółdzielni całego kraju wybrała ich jako swoich przedstawicieli. Z zaufaniem, że jak najrozsądniej potrafią z wycieczki skorzystać i to co zobaczą przekazać dokładnie swoim.

I jakkolwiek byłyby między nimi różnice, nie podobna do siebie mowa i nie jednaki stopień uświadomienia, łączyło wszystkich bez wyjątku olbrzymie zainteresowanie do tego co zobaczą, łączyło poczucie wielkiego znaczenia dla dalszego życia ich i ich wsi, tego wszystkiego, co będą oglądać. Nie jechali do tych ważnych przeżyć nieprzygotowani. Przygotowała ich walka klasowa, w której ogniu tworzą się polskie spółdzielnie produkcyjne, przygotowały własne zmagania z zacołaniem i uprzedzeniami narosłymi w psychice chłopskiej warstwami nieomal zrogowaciałymi podczas wieków nędzy i ucisku.

Ich praktyka zaorywania miedzi, ich praktyka wspólnego siewu i wspólnej decyzji i odpowiedzialności wspólnej, sama wysunęła konkretne pytania, na które liczyli, że teraz znajdą odpowiedź. Powieźli do Związku Radzieckiego swoje problemy w poczuciu, że zostaną rozstrzygnięte, powieźli skąpe jeszcze doświadczenia wiedząc, że zostaną wzbogacone, powieźli także utrwalone w pamięci niepowodzenia, aby wyświetlić ich przyczyny i nauczyć się na przyszłość ich unikać.

TACY WRÓCILI

STANISŁAWA WOLSKA chciała przede wszystkim pomóc w swej wsi tym, co nie rozumieją, tym co mogliby już sobie i drugim budować lepsze życie a jeszcze z jednej wątpliwości snują drugą, w kółko się myślami kręcą, wahający. Chciała pogłębić swoje i swych dzieci racje przeciwko tym bogatym co wodę mącą wśród biednych chłopów, błotem kłamstw najbardziej wymyślnych. Wolska spodziewała się wiele na Ukrainie skorzystać. Nauczyła się więcej nawet niż się spodziewała.

Po powrocie mówi: „U nas największy strach na kobiety, to takie gadanie, że w kołchozach mężowie są wspólni. I drugie, że niby samej kobiecie nie wol-



Stanisława Wolska nauczyła się więcej na Ukrainie, niż się spodziewała. (fot. K. Jarochowski).

RADZIECKICH

no gotować, tylko wszyscy mają jeść to samo. Naj-
samprzód człowiek sobie mógł język zdzierać, a je-
szcze mu na końcu taki jeden z drugim dołożył:
„nie byłaś kobieto, nie widziałas, co mądrego po-
wiesz”. — Teraz ja odpowiedź mam.

— Bez koszul chodzą...

Ja mu na to:

— Na własne oczy widziałam, u dziewcząt i po
dwanaście sukienek wisi w szafie.

Albo, że religię prześladują.

Więc ja znowu o wolności wyznania. Obrazy u
nich wiszą, różne świętości na ścianie, jak tylko kto
ma chęć powiesić, napatrzyłam się dobrze.

Więc może ktoś mnie zaczepi, że w kołchozie sta-
rym ludziom bieda.

— Bardzo dobrze — odpowiadam. Ja poszłam,
sprawdziłam zupełnie osobiście. Na przykład sta-
ruszka lat 70. Całe życie pracowała u obszarników,
ale dobrze jej się zrobiło dopiero jak zorganizowali
kołchoz. 2% dochodu kołchozu dostają emeryci,
więc jej niczego nie brakuje. Córka tej staruszki
jest słabego zdrowia, z tego powodu ma lżejszą pra-
cę, przy pasiece. Matka mieszka przy córce. Ale jak
kto stary nie ma rodziny, kołchoz daje i mieszkanie
i ubranie, nawet bieliznę staruszkowie oddają do
prania, żeby się nie męczyli. Leczenie mają darmo,
nie takie jak się trafia czasem w naszej przychodni,
że lekarz chorych wizytuje przez marynarkę, nawet
im się dobrze nie przyglądnie. Tam się doktor na-
prawdę stara ulżyć choremu.

Nikt mi teraz nie zarzuci, że mówię, co nie wiem.
Sama się przekonałam, nie dam się zmylić, każdemu
wyświetlę co i jak.

Teraz dla mnie najważniejsza rzecz uświadomić
kobiety. Takie też, których mężowie należą do spół-
dzielni a one same nie, bo się nie umiały przekonać.
Będę uświadamiać kobiety nie tylko na wsi, ale i w
powiecie“.

JAN SENDEK zabrał się do roboty w wilczkow-
skiej spółdzielni natychmiast, jeszcze nim zdążył się
ogarnąć po długiej podróży. Poszedł prosto w pole:

— Bójcie się Boga, kobiety, w Związku Radziec-
kim już o burakach zapomnieli, a wy ciągle przy
pielonce! — wymachiwał ogromnymi rękami, już
z daleka.

— Na Ukrainie między burakami ani jednego
chwastu!..

Członkinie spółdzielni pracujące przy pieleniu
zartowały z tego powitania po długiej nieobecności.
Ale były także trochę dumne, że takiego właśnie
wybrały sobie przewodniczącego. W gorącej wodzie
kapany, odpowiedzialny.

W dwa miesiące później zespół spółdzielczy Wilcz-
kowa zaczął wprowadzać na swych polach płodo-
zmian trawopolny Williamsa. I tak, kolejno członko-
wie realizują projekty Sendka. Cała spółdzielnia ko-
rzysta z doświadczeń przywiezionych z dalekich koł-
chozów.

Niecierpliwie wyczekuje się w spółdzielni im. M.
Nowotki i w całej okolicy końca roku 1951. Stanie się
on rokiem rezultatów. Każdy się będzie mógł prze-
konać, czy słusznie spółdzielcy wydelegowali
Sendka, aby pojechał na Ukrainę, czy mieli rację
wprowadzając nowości przez niego proponowane.

Niedługo nie będzie już żadnych kwestii spornych
lecz i teraz można sporo przewidywać. Nie z ja-
kichś wróżb, nie ze znaków na niebie, ale ze zna-
ków jak najbardziej na ziemi. Choćby z pewnej
tablicy zawieszanej na ścianie świetlicy w spół-
dzielni wilczkowskiej. Zanotowano na niej prze-
ciętą wysokość zbiorów z hektara na gospodar-
stwach indywidualnych Wilczkowa i spółdzielni
w roku 1950.

Tabela wygląda tak:

Przeciętne plony gospo- darstw indywidualnych w Wilczkowie		Przeciętne plony spół- dzielni im. M. Nowotki w Wilczkowie	
żyto	— 11 q z ha	żyto	— 16 q z ha
pszenica	— 13 „ „	pszenica	— 20 „ „
jęczmień	— 13 „ „	jęczmień	— 26 „ „
owies	— 16 „ „	owies	— 17 „ „
buraki	— 110 „ „	buraki	— 220 „ „
ziemniaki	— 60 „ „	ziemniaki	— 100 „ „

JAKUB OLSZOWY i **IGNACY MAREK**, gospoda-
rze indywidualni, gdy jechali na Ukrainę najbardziej
zależało im na tym, by zobaczyć i ocenić rolę mecha-
nizacji w rolnictwie. Mieli wątpliwości czy rzeczy-
wiście maszyna może człowieka wyręczyć. W czym
i jak na przykład? A czy chłopów stać na kupienie
maszyny? Czy sobie z nią dadzą radę?

Spodziewali się wiele w kołchozach wybać. Wy-
patrzyli więcej niż się nawet spodziewali.

Po powrocie Jakub Olszowy opowiada: „Mnie
a także mówili poniekąd, we wsi: Ty się nic nie
dowiesz. A ja się właśnie namacalnie przekonałem,
jak jest. Teraz ja ich przekonam, bo mam u ludzi
zaufanie, a miałem możliwość wszystko zobaczyć, nie
byłem krępowany. Będę przekonywać przeciwników
spółdzielni, żeby się jak najszybciej zespolicili we

Dokończenie na str. 21



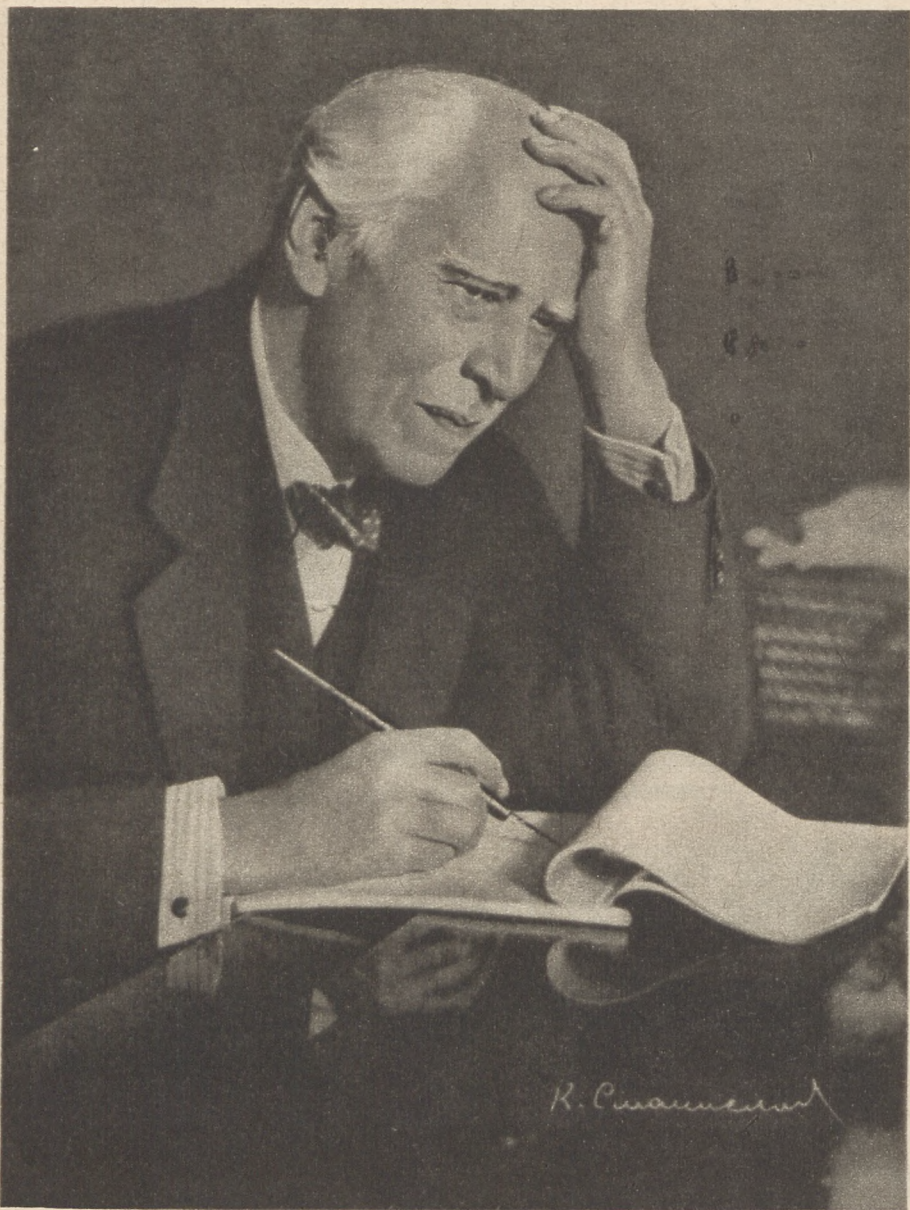
„NA DUŻYM POLU, WŁAŚNIE W SPÓŁDZIELNI, TAKI KOMBAJN TO CACKO I CUD“.



MASZYNY ZASTAPIĄ LUDZI, SZCZEGÓLNICIE W CIĘŻKIEJ ROBOCIE — MÓWI OLSZOWY.



„KAZDY METR PSZENICY I ZIEMNIAKÓW WIĘCEJ, PRZYBLIŻA W POLSCE SOCJALIZM“



STANISŁAWSKI (1863 — 1938) GRAŁ WIELE ŚWIATOWYCH RÓL...



...W SZTUCE „NA DNIE” GORKIEGO, GRAŁ SATINA (SIEDZI NA STOLE),

TEATR PRAWDY

STANISŁAW WITOLD BALICKI

NAJLEPSZE tradycje teatru rosyjskiego wywodzą się w prostej linii od chłopów pańszczyźnianych. Jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego wieku kupowano ich do trup teatralnych. Chłopem pańszczyźnianym, analfabetą był genialny Szczepkin. Uzyskawszy wolność tłukł się po prowincjonalnych scenach nim został czołowym aktorem Teatru Małego i wyrósł na pierwszego reformatora rosyjskiego teatru. Przyjaciół Puszkińskiego, Gogola,

Hercena i krytyka Bielińskiego, zerwał z napuszoną i groteskową konwencją teatru dworskiego, wskazał na ludowe źródła sztuki narodowej, jak najbardziej zbliżonej do natury. Szczepkin stał się prawodawcą realizmu w teatrze Rosji.

Ideowym potomkiem Szczepkina był Konstanty Stanisławski, prawnuk chłopu pańszczyźnianego, wzrastający w kulturalnym środowisku rodzinnym przemysłowca i społecznika. „Od prawa pańszczyźnianego —

...W „Grzegorz Dandin” Moliera...



..W „CZAJCE” CZECHOWA (Z PAPIEROSEM W USTACH). CZAJKA STAŁA SIĘ ODTĄD GODŁEM MCHATU.

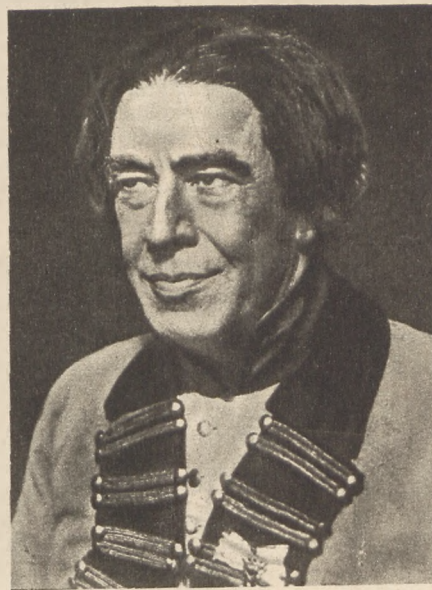




OBOK KACZAŁOWA (BARON) I KNIPPER — CZECHOWEJ (NASTKA)...



...Famusowa w „Biada rozumowi“...



...RIPPAFRAŁĘ W „OBERŻYSTCE“...



...NIESZCZĘŚLIWCEWA W „LESIE“...

do bolszewizmu i komunizmu” — jak sam mówił, wiodło jego urozmaicone życie zmieniające się nieraz od podstaw.

Ukochanej sztuki teatralnej uczył się w ruchu amatorskim; potem podpatruje wielkich aktorów Teatru Małego. I zdaje mu się, że do aktorstwa wystarczą dobrze zaobserwowane obce wzory. „Nie to robiłem, co sam odczuwałem, lecz odtwarzałem to, co czuł ktoś inny. Nie da się jednak żyć cudzym uczuciem, skoro nie przeobrazi się ono we własne!” — stwierdzi kiedyś (i zapisze w „Moim życiu w sztuce”). Warto przeczytać przekład polski, który lada dzień wypuści „Książka i Wiedza”.

Całe życie i działalność Stanisławskiego w sztuce będzie nieustanną walką z zewnętrznym charakteryzowaniem postaci, jako głównym elementem twórczości aktorskiej. Tak zwany zewnętrzny realizm gdy stał się wyłącznym celem, a nie jednym ze środków dla wyrażania dogłębnej, autentycznej prawdy przeżyć człowieka ukazywanego w kształcie artystycznym na scenie — spowodował ześliszgnięcie się aktorstwa po linii najmniejszego oporu w niewolę naturalizmu.

Przeżycie przez aktora tego wszystkiego, co przeżywa bohater dramatu nazywał Stanisławski realizmem wewnętrznym. Coraz głębiej rozumiał, że nie wolno oddzielać formy od treści, ale że jej trzeba formę podporządkować.

Do wyrażania prawdy przeżyć mają służyć takie działania, które najlepiej ukazałyby świat wewnętrzny wybranej postaci, najlepiej wyraziły idee sztuki, czyli jej „zadanie nadrzędne”, jakie ma spełnić wobec widzów. „Dla widza jest ważne — przekazywał aktorom Stanisławski — ażeby jego myśli, ażeby to, co on co dzień

przeżywa, wzruszało was, a myśli, które wy wyrażacie na scenie — żeby wzruszały jego. W naszym kraju socjalizmu teatr nie ma prawa kłamać — powinien on być wewnętrznie prawdziwy. Nakłada to duże obowiązki na aktora i stawia także wymagania jego sztuce. Najtrudniejsze to pokazać obrazy współczesne w prawdziwych, głębokich zarysach”.

Wychowaniu i wykształceniu aktora poświęcił Stanisławski kilka prac teoretycznych: „Praca aktora nad sobą”, „Praca aktora nad rolą” i piękną książeczkę „Etyka”. (Też warto przeczytać przekład polski, wydany przez PIW, aby się równocześnie przekonać, jak podobnie o taki sam cel i atmosferę pracy, ostro występując przeciw teatrowi kapitalistycznemu, walczył nasz Stefan Jaracz).

Terenem poszukiwań i osiągnięć zarówno aktorskich, jak zwłaszcza reżyserskich i pedagogicznych Stanisławskiego był, założony w 1898 r. wspólnie z dramaturgiem i reżyserem W. Niemirowiczem — Danczenką, Teatr Artystyczny, popularnie Mchatem zwany. (Moskowskiej Chudożestwiennoj Akademickiej Teatr SSSR imienia M. Gorkiego). Najbliższymi współpracownikami teatru byli A. Czechow i M. Gorki. „Czechów umiał jak mało kto przedstawić nieznośną atmosferę wstecznicstwa i ośmieszać trywialność tworzonego przez nie życia” — pisał Stanisławski, stwierdzając równocześnie, że „człowiekiem, który dał początek i stał się głównym twórcą społeczno-politycznego kierunku w Mchacie, był Gorki”.

Gdy lud zapełnił widownię teatrów radzieckich, domagając się ukazania wielkich uczuć i prawdy nowej epoki, Stanisławski ostatecznie zrozumiał, że „zbiorowa twórczość teatru zaczyna się od dramaturga; bez niego ani aktor ani reżyser nie mają nic do ro-

boty”. Od krytyki społeczeństwa mieszczańskiego przeszedł Stanisławski do realizmu socjalistycznego, do współtworzenia przy pomocy sztuki teatralnej społeczeństwa socjalistycznego.

Z doświadczeniami i nauką Stanisławskiego zapoznaje się aktorstwo polskie.

Wysocka, Zelwerowicz, jeszcze przed pierwszą wojną światową wędrowali do Moskwy, by poznać nowy teatr. Osterwa, Jaracz, Brydziński i inni

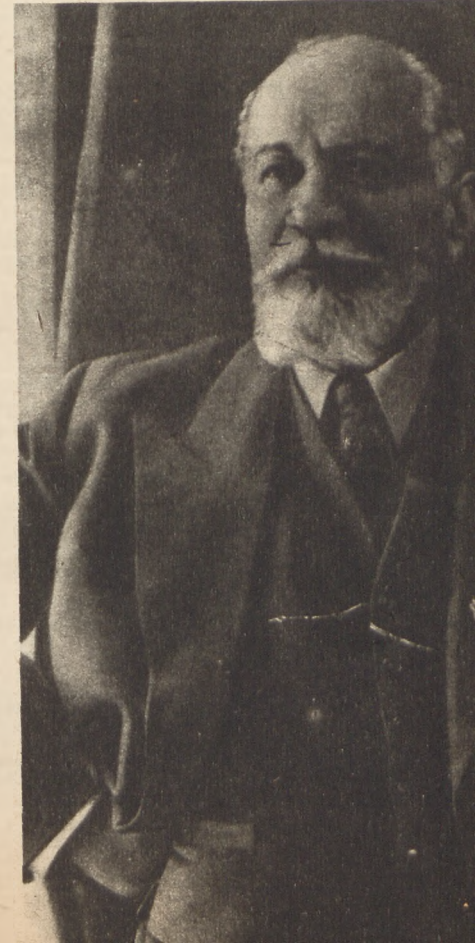
Grał również Gajewa w „Wiśniowym sadzie” — Czechowa.



przypatrzyli mu się w roku 1916. „Reduta” Osterwy i Limanowskiego, „Studia” Wysockiej, były pod silnym wpływem atmosfery Mchatu. W r. 1914 Wysocka usłyszała od Stanisławskiego radę: „Niech pani tworzy Studia (teatr młodzieży aktorskiej) dla przyszłej Odrodzonej Polski”.

Tak mógł radzić nie tylko, jak wspominała Wysocka, „wróg wszystkiego, co było uciskiem i niewolą”, ale i przyjaciel Polski, przyjaciel postępu i pokoju.

W. Niemirowicz — Danczenko (1858 — 1943), współtwórca Mchatu.



DULLES W KOREI

ALEKSANDER CZAKOWSKI *)

SAMOLOT leciał na dużej wysokości. Strzałka wysokościomierza wskazywała 17,500 stóp. Mimo to mgła spowijała samolot ze wszystkich stron. Przez okno nic nie było widać, prócz wielowarstwowej mgły, podobnej do waty.

Porucznika Fentona bardzo bolały uszy. Gdyby nie leżał bez ruchu na wznak w kabine załogi, dawno by już zwymiotował. Postanowił jednak okazać siłę woli, wstać i odwiedzić pasażera, który został powierzony jego opiece.

Wysoki tegi starzec w czarnym garniturze siedział samotny na fotelu, zamknawszy oczy i pochyliwszy lekko długą głowę przypominającą jajko.

— Jak się pan czuje, sir? — zwrócił się porucznik do starca. — Nie wytrzyma pana?

Starzec podniósł głowę i nie otwierając oczu zapytał po cichu:

— Gdzie jesteśmy?

— Trudno określić, sir. Mgła dokoła... Przypuszczam...

— Niech pan zapyta pilotów.

— Tak jest.

Fenton z trudem dotarł do kabiny pilota.

— Cieśnina Cuszyńska, sir — powiedział wracając do pasażera.

Starzec otworzył oczy.

— Słabo panu? — zapytał.

— Nie jestem przyzwyczajony, mdli mnie — wymamrotał zakłopotany porucznik. — Widocznie urodziłem się po to, by chodzić po ziemi. Lotnictwo — to nie mój rodzaj broni.

— Amerykanin winien się dobrze czuć w powietrzu. To jest nasze powietrze.

— Oczywiście, sir.

Starzec znów zamknął oczy. Fenton stał chwilę, a potem zaczął posuwać się w stronę łóżka. Poruszał się jak niewidomy, po omacku.

Fenton nie wiedział jak się starzec nazywa, lecz przypuszczał, że jest to jakaś gruba ryba. Co najmniej senator. W innym bowiem razie generał Roberts nie kazałby jemu, Fentonowi, oczekiwać starca w Tokio i towarzyszyć mu do celu podróży.

Właściwie wszystko to nie było potrzebne. Na lotnisku w Tokio odprowadzała starego gentlemiana kupa dygnitarzy. Sam Mac zawiózł go do gmachu portu lotniczego własnym samochodem. Do samolotu wsiedli wraz ze starcem dwaj dragale, którzy przez całą drogę chrapią w fotelach.

A jednak Fenton był zadowolony, że to właśnie jemu kazano oczekiwać starca. Nieźle jest pobyć jakiś czas przy zwierzchnikach. Obok tego starego, człowiek sam jest znacznie pewniejszy siebie.

...Porucznik Fenton miał dwadzieścia dziewięć lat. Urodził się w stanie Oklahama, w rodzinie właściciela wielkiego garażu. Podczas wielkiej bójki był w Europie, co prawda przybył tuż przed zakończeniem, kiedy wojska zbliżyły się już do Elby. Po powrocie do Stanów w czterdziestym szóstym, zdjął mundur i chciał się zająć jakąś opłacalną robotą, lecz okazało się, że to nie jest takie proste. W garażu też nie było co robić — ojciec sam siedział bez pracy. Fenton przywiózł coś niecoś z Europy. Na pierwszy okres wystarczyło, ale później trzeba było zebrać u ojca o kilka centów na papierosy.

Fenton najbardziej nienawidził pustki w kieszeni. Kiedy w „Legionie Amerykańskim“ (wstąpił do tej organizacji przede wszystkim dlatego, że na liście członków widniały nazwiska, które warte były wiele setek tysięcy i milionów dolarów) zaproponowano mu znowu przywdzianie munduru i wyjazd do Korei, nie zastanawiał się długo i zgodził się. Zresztą nad czym miał się zastanawiać? Obiecano mu zapłatę dwa razy wyższą niż ta, którą otrzymywał podczas służby w Europie.

Wsiadł na statek i pojechał dziewięć tysięcy mil morskich, hen, gdzie pieprz rośnie.

I oto już czwarty rok jest oficerem łącznikowym przy misji amerykańskiej w Seulu. W ciągu tych lat wiele zrozumiał i wiele się nauczył.

Zrozumiał po pierwsze, że do tego czasu był żółtodziobem i że teraz dopiero znalazł się przy istotnych sprawach. Po drugie Fenton zrozumiał, że nadciągają ważne wydarzenia, które pozwolą mu zająć odpowiednie miejsce.

Fenton, leżąc na grzbiecie i starając się nie poruszać, walczył z mdłościami i przeklinał starca, który najspokojniej w świecie siedział na fotelu.

W ciągu ostatnich miesięcy Fenton miał sposobność widzieć wielu wybitnych bossów. Do Seulu przyjeżdżali rozmaici doradcy i senatorowie. Pewnego razu przybył nawet Sebald, doradca polityczny Maca. Lecz ten drewniany starzec nie był podobny do nich, przypominał raczej pastora.

Wreszcie Fenton poczuł się trochę lepiej. Podniósł się i rzucił okiem na wysokościomierz. Dzieśięć tysięcy stóp. Dragale spali w dalszym ciągu.

Przez uchylone drzwi zajrzał do kabiny pasażerskiej. Starzec, jak przedtem, siedział bez ruchu z zamkniętymi oczami.

„Myśli — doszedł Fenton do wniosku. — Myśli o żonie i dzieciach. Na stare lata nie jest tak łatwo porzucić dom i lecieć pod niebem na wysokości 10.000 stóp. Pastor... prowincjonalny pastor. Myśli o żonie i walczy z mdłościami“.

Fenton mylił się.

Starzec z wielką głową, podobną do jajka, siedzący bez ruchu na fotelu, nie walczył z mdłościami. Już dawno przemierzył przestrzenie powietrzne nad światem we wszystkich kierunkach, i czuł się w samolocie, jak u siebie w domu.

Nie myślał również o rodzinie.

Po raz setny usiłował przedstawić sobie we wszystkich szczegółach to, co nastąpi, gdy poda termin rozpoczęcia generalnego ataku na całym froncie trzydziestego ósmego równoleżnika.

Starzec rozpoczął łańcuch tych rozmyślań od chwili, gdy Mac Arthur pożegnał się z nim w gmachu tokijskiego portu lotniczego. Stopniowo, systematycznie, krok za krokiem, odtwarzał w pamięci źródła wielkiego planu, który nareszcie miał dziś możliwość zrealizować.

Starzec miał doskonałą pamięć. Wydarzenia, spotkania, rozmowy, jak gdyby zastygając utrwały się w niej na długo. Tak samo teraz, w samolocie, na wysokości kilku tysięcy stóp, pamięć pracowała doskonale.



Miał przed oczami cały półwysep koreański. Znał go wszczep i wzdłuż, mógł wymienić nazwę każdej kopalni, każdej fabryki, każdego złoża rudy, pamiętał co i do kogo należy.

Nie umiał tylko przedstawić sobie ludzi tego kraju. Dla niego mieli oni wszyscy jednakową twarz, z wyjątkiem kilku, którzy znośnie mówili po angielsku. Starzec myśląc o północnej części kraju, nawet nie wspominał o jej mieszkancach, w ogóle nie brał Koreańczyków pod uwagę. Wystarczała mu pamięć o tym, że na północy znajdują się kopalnie złota w Unsanie, zajmujące pod względem rozmiaru drugie miejsce na Dalekim Wschodzie. Pamiętał o wolframie, którego złoża znajdują się na północ od trzydziestego ósmego równoleżnika. Wiedział, że to wszystko w najbliższym czasie stanie się — musi się stać! — własnością Morgana.

W tej samej chwili w uszach starca rozległ się potężny głos Wilsona — kreatury Morgana. „Wilson, Wilson... — powtórzył starzec w myśli — ten chłopak, podobny do goryla... szybko posuwa się naprzód... Widocznie otrzyma wkrótce dyktatorskie pełnomocnictwa, stanie na czele nadministerstwa kierującego produkcją przemysłową dla celów wojennych...“

Starzec pomyślał z dozą ambitnej goryczy, że pełnomocnictwa, które na pewno otrzyma ten człowiek, będą bodaj największe, jakie ktokolwiek miał w Stanach Zjednoczonych. „To będzie Byrnes, Donald Nelson, Leon Henderson do kupy — pomyślał z uśmiechem. — No cóż, słusznie. Dość mieliśmy figlarzy politycznych na stanowiskach państwowych. Rządzić krajem winni, na wszystkich stanowiskach, jego prawdziwi gospodarze...“

Nie, ten starzec nie był drobnym bussinesmanem i nie sprowadzał przygotowywanej wojny tylko do gry interesów handlowych. Myśląc o Korei, myślał o Chinach, o Azji. Korea i Taiwan — w rękach amerykańskich, co może być lepszą rekojmią podporządkowania Chin i podboju Azji?

Czy przypadkowo zagadnienie natychmiastowego ataku powstało po zwycięstwie Mao Tse-tunga?

Starzec odnowił w pamięci wydarzenia ostatnich dwóch lat. Przypominał sobie odwiedziny różnych agentów, przypominał sobie jak w rozdrażnieniu powiedział generałowi Robertowski, że cisza na wschodzie trwa już za długo...

...Przed miesiącem kierownikowi wydziału koreańskiej administracji pomocy gospodarczej USA Johnsonowi, pozwolono na złożenie oświadczenia, że

statystyczna armia południowej Korei, uzbrojona w amerykańską broń i wytrenowana przez amerykańskich generałów, zakończyła przygotowania i może rozpocząć wojnę każdej chwili...

Przyszedł czas, by dać sygnał rozpoczęcia działań wojennych.

Przed tygodniem starzec wsiadł do samolotu wraz z ministrem wojny Johnsonem i przewodniczącym zjednoczonej grupy szefów sztabów, generałem Bradley'em. Wyruszyli do Tokio na ostatnią naradę z Mac Arthurem...

Do generała Mac Arthura, nie patrząc na jego popularność, starzec nie żywił szczególnej sympatii. Uśmiechał się ironicznie, gdy czytał niezliczone artykuły w prasie, w której generała nazywano „kochanie Gary Cooper“, i zachwycono się jego nonszalancką manierą noszenia munduru i palenia papierosa z półmetrowym ustnikiem.

Szanujący się generał nie powinien być podobny do gwiazdy filmowej i nie powinien wymyślać specjalnie dla siebie szczególnego kroju munduru. Starzec siedzący w samolocie, organicznie nie znosił wszystkiego co krzykliwe, co bije na efekt zewnętrzny...

„Ale kto? — zadał nagle pytanie sobie samemu. — Kto mógłby zastąpić Maca? Może ten karierowicz, żołdak, major zawodowy w naramiennikach generalskich, Omar Bradley? Mac Arthur ma przynajmniej tę wyższość, że jest nasz. Należy do kasty bossów, tych, którym można powierzyć władzę. Cała jego droga życia, ożenek z Luizą Cromwell, pasierbicą milionera Stottesbury, rozgromienie marszu weteranów na Waszyngton, filipińska reputacja jego ojca...“

Starzec nie lubił Mac Arthura, lecz szanował i wiedział, że Mac zna swoją robotę.

Nie musiał wyteżać pamięci, by przypomnieć sobie wszystkie szczegóły narady z Mac Arthurem, zakończonej dziś rano. Znajdował się jeszcze w atmosferze tej narady i mógł odtworzyć jej przebieg z dokładnością stenogramu.

Dzieło ostatnich lat jego życia dobiegało końca. Atak generalny winien zacząć się w najbliższym czasie. Kiedy? — Starzec zastrzegł sobie prawo ustalenia daty i zakomunikowania o niej w Stanach, po zaznajomieniu się z sytuacją na miejscu.

Starzec był dumny. Nie, nie przeceniał swej roli w tej sprawie. Był w dostatecznym stopniu bezlitosny nie tylko wobec ludzkości, lecz wobec samego siebie. Przypadło mu w udziale być narzędziem w ręku ludzi potężniejszych od niego. Wszystko, co miało się wydarzyć w Korei, było skutkiem wielkich niepowodzeń, jakie ci potężni ludzie ponieśli w Chinach. Szło o Amerykę, o jej prestiż zachwiany na Dalekim Wschodzie, o zapobiegnięcie kryzysowi, który nieuchronnie groził Stanom Zjednoczonym.

Starzec nieodstępnie myślał również o tym, że starannie opracowana i przygotowana operacja w Korei, nie powinna, nie może być celem samym w sobie. Winna być jedynie uwerturą do innej, wielkiej, gigantycznej wojny, której przygotowanie od wielu lat uważał za główny cel swego życia.

Myślał o wojnie ze Związkiem Radzieckim, i myśl ta była motywem przewodnim jego rozważań.

Wydarzenia w Korei miały być grą o dwie stawki — wielką i małą. Wielka stawka to widoki na wtrącenie się Związku Radzieckiego do konfliktu koreańskiego, wtedy trzecia wojna światowa stanie się faktem. W tym wypadku starzec uważałby dzieło swojego życia za zrealizowane. W przeciwnym razie, cóż!... Konflikt koreański zostanie wy-czerpany w ciągu siedmiu, ośmiu dni. Wojska amerykańskie znajdą się na tyłach we Władywostoku i Mandżurii... a wówczas... wówczas trzeba będzie znów nieustannie pracować dla osiągnięcia głównego celu, lecz już na nowym gruncie, z nowymi, jeszcze bardziej realnymi szansami na sukces...

Starzec zwraca się do okna i patrzy w dół. Samolot zniża się do lądowania. Starzec widzi brzeg morza, podobny do niedostępnej bariery, przyodziejanej lasem, widzi doliny i ledwie dostrzegalne srebrne pasemko rzeki.

Chciałby spojrzeć dalej, na północ, tam, gdzie znajduje się nienawidzona przez niego Rosja Radziecka.

Wśród nielicznych namietności, które opanowały starca, najsilniejszą jest zdolność nienawidzenia. Głównym przedmiotem jego nienawiści, mogący w każdej chwili wyprowadzić go ze zwykłego zimnego stanu skupienia, jest od dawnych czasów Rosja Radziecka. O, ten starzec posiadał swoją filozofię historii. Jeszcze przed dziesięcioma laty wydawało mu się, że przyszłość należy do Ameryki. Z roku na rok, z chorobliwą satysfakcją obserwował jak starzeje się Anglia, niegdyś główny konkurent Ameryki; sprawozdania statystyczne świadczące o zwycięskim marszu dolara przez strefy geograficzne, dawały mu więcej otuchy, niż wszystkie powieści, których zresztą prawie nie czytał...

Marzyła mu się przyszłość: ziemia, na której pod amerykańskim sztandarem pracują pokornie narody, których wolę i niezawisłość złamała lub kupiła Ameryka, niewyczerpane rynki, niewyczerpane rezerwy pokornej, taniej siły roboczej...

I temu wszystkiemu przeciwstawiał się przeklęty kraj, obcy mu duchem, charakterem narodowym, ustrojem państwowym...

*) Aleksander Czakovski jest wybitnym prozaikiem radzieckim młodego pokolenia. Za powieść pod tytułem „U nas już ranek“ otrzymał Nagrodę Stalinowską. Ostatnio Czakovski przebywał w Korei jako korespondent prasy radzieckiej. „Dulles w Korei“ jest fragmentem przygotowywanej przez pisarza opowieści pt. „Hwan - Czer stoł na posterunku“.

Starzec, marszcząc brew, patrzy na północ, lecz nie widzi nic, prócz nie kończących się łańcuchów górskich.

Znów opuszcza głowę i zamyka oczy.

Samolot zniża się do lądowania, a on siedzi w dalszym ciągu nieruchomo, wielki, tęgi, w czarnym garniturze, mimo upału, jeden z kierowników kościoła w Stanach Zjednoczonych, człowiek, którego radziecki minister spraw zagranicznych nazwał „podlegaczem wojennym numer pierwszy”, szef znanej firmy adwokackiej „Sullivan i Cromwell”, doradca Departamentu Stanu — John Foster Dulles.

...Porucznika Fentona obudziło szarpnięcie i ból w uszach. Samolot zniżył się ostro do lądowania. Strzałka wysokościomierza pełzła w dół. Dragale spali jak przedtem. Głowa draba leżącego przy Fentonie, pochyliła się na bok. Z owłosionego ucha sterczał kawałek waty. Fenton oparł się na łokciu i popatrzył na starca. Starzec siedział nieruchomo, jak posąg. Tylko przez jego twarz przebiegł jakiś grymas.

„Zmogło ciebie również...” — pomyślał z zadowoleniem Fenton, któremu tak huczało w uszach, jak gdyby mu ugniatało głowę pod prasą.

Wreszcie koła dotknęły ziemi i samolot potoczył się gładko po betonowej ścieżce. Fenton zerwał się na równe nogi. W momencie przybycia powinien być obok starca. Bądź co bądź jest jego opiekunem. Poza tym, niech ich zobaczą razem. Starzec na pewno znaczy coś niecoś!

— Przyjechaliśmy, sir — powiedział wesoło Fenton wchodząc do kabiny.

Dulles odwrócił się w jego stronę i powiedział cicho:

— Dziękuję. Jest pan doskonałym obserwatorem. Wstał.

W tej samej chwili Fenton poczuł, że ktoś ciągnie go w tył. Przed nim mignęły plecy dragali. Stał między nim a starcem, jak gdyby wyrosłszy spod ziemi.

Drzwi samolotu otworzyły się. Kabinę wypełnił blask słońca. Na progu stał poseł amerykański w Korei, Muccio i generał Roberts.

Fenton zrobił krok w kierunku drzwi by zwrócić na siebie uwagę przynajmniej przez złożenie raportu Robertowi. Lecz dragale znów zagroźli mu drogę, a starzec zbliżył się do Muccia, wyciągając ręce na powitanie.

Kiedy Dulles w towarzystwie Muccia i Roberta zeszedł ze schodków, Fenton chwycił swoją walizkę i ruszył do drzwi.

Tum okrzykał samolot. Z lewej strony ustawili się urzędnicy poselstwa i oficerowie misji, którzy przybyli w komplecie. Z prawej skupili się Koreańczycy. Przed nimi stał Koreańczyk niskiego wzrostu, o twarzy pokrytej zmarszczkami.

„Oho — powiedział sobie Fenton — sam pawian raczył przybyć!”. Tak oficerowie nazywali między sobą Li Syn Mana.

Rzuciwszy wzrokiem jeszcze raz na plecy Dullesa i idących za nim Muccia i Roberta, Fenton pomyślał:

„A przecież miałem rację, kiedy doszedłem do wniosku, że to jest prawdziwy boss. On ma wielki bussines. Ogromny!”

...Kiedy Fenton zeszedł ze schodków, lotnisko już opustoszało. Było bardzo gorąco, rozżarzone słońce płynęło po niebie. Przez szosę, jak różnobarwny łańcuszek, pędziły samochody odwożące Dullesa i tych, którzy go witali.

Fenton znalazł miejsce w jednym z ostatnich jeepów. Był wściekły, a zarazem oszołomiony ważnością tego, co przeżył w ostatnich minutach.

Za jeepem jechał ciemnozielony „Hudson”, w którym zajęli miejsca Dulles, Muccio i Roberts. Dulles i Muccio zajęli tylne siedzenia. Roberts usiadł na zapasowym miejscu.

— Straszny upał, sir, nieprawdaż? — rzekł Muccio wycierając chusteczką spoczone czoło.

— Tak, gorąco — odpowiedział z roztargnieniem Dulles. Na jego twarzy nie było ani jednej kropli potu. — Dokąd jedziemy?

— Oczywiście do mnie.

— Chciałbym pójść do kościoła — powiedział cicho Dulles.

— Gdzie, sir?

— Do kościoła.

— Oczywiście — Muccio pośpiesznie wyraził zgodę. — Pojedziemy do kościoła przy poselstwie.

Dulles pozostał w kościele całą godzinę. Punktualnie o czternastej wszedł w towarzystwie Muccia pod chłodne, ciemne sklepienia, wydając małą książkę do nabożeństwa z tylnej kieszeni spodni. Dokładnie o piętnastej wyszedł z kościoła. Następnie udał się do mieszkania Muccia, wykapał się i przebrał, zamieniając czarny garnitur na drugi identycznie taki sam i rzekł, że przede wszystkim chciałby obejrzeć miasto.

Po pół godzinie w otoczeniu dwóch dragali, którzy towarzyszyli mu od chwili wyjazdu z Waszyngtonu, Fentona, który został przydzielony do Dullesa w charakterze tłumacza i jeepa z trzema oficerami, stary udał się na spacer po mieście.

Do Fentona, który siedział pośpny na łóżku w hotelu „Chosen” zadzwoniono i powiedziano, że ma towarzyszyć przybyłemu dzentelmenowi w spacerze po mieście. Fenton, który zdążył się już poinformować i wiedział kim jest gość, zrozumiał, że fortuna uśmiechnęła się do niego ponownie. Wsiadając do samochodu, pozwolił sobie na odepchnię-

cie jednego z dragali, wszedł natychmiast za Dullesem i usiadł obok niego na tylnym siedzeniu.

Fenton znał doskonale miasto — mieszkał przecież w Seulu przeszło trzy lata. Trzeba było tylko ustalić co interesuje starca? Architektura? Antyki? A może potrzebny mu jest „korzeń życia”?

Wówczas Fenton postanowił wyłożyć wszystko, co wiedział o mieście.

— Seul, sir, jest największym miastem tego kraju — zaczął. — Niegdyś otoczony był murem fortecym, obecnie prawie całkowicie zniszczonym. Jeśli pan sobie życzy, mogę panu pokazać te ruiny. Poza tym znajdują się w mieście różne zabawne rzeczy, w rodzaju pałacu królowej wdowy, mnóstwa smoków i innych najrozmaitszych okropności. Dookoła znajdują się góry. Opowiadają, że dawniej zapalano na nich ognie na znak, że w królestwie wszystko jest w porządku...

Fenton spojrzał z ukosa na starca. Stary milczał z oczami utkwionymi w plecach dragala siedzącego przed nim.

Samochody pędziły szerokimi ulicami Seulu, trąbiąc przeraźliwie. Przechodnie pośpiesznie rozbiegali się w różne strony.

Wyjątkowy ruch panował w centrum, gdzie dwie szerokie, proste ulice, wiodące od zachodniej bramy miasta do wschodniej, przecinają cztery inne ulice, ciągnące się z północy na południe.

Dulles zauważył z zadowoleniem, że we wszystkich napotkanych po drodze samochodach, siedzieli wyłącznie Amerykanie.

— Biały człowiek — ciągnął dalej Fenton — może całkiem przyzwolcie żyć w tym mieście, jeśli ograniczy się do centrum. Na przedmieściach panuje taki brud, że odwiedzanie ich grozi niebezpieczeństwem.

Dulles zwrócił głowę w stronę Fentona i patrząc mu prosto w oczy zapytał:

— Ile tu kosztuje funt ryżu?

— Co, sir? — powiedział zdumiony Fenton.

— Pytam, ile tu kosztuje ryż?

— Nie mam pojęcia, sir — mruknął zakłopotany Fenton. — Żółci jedzą ryż, oczywiście... Ale dla amerykańskiego żołądka ryż się nie nadaje, sir, może mi pan wierzyć... W mieście, sir, znajdują się porządne restauracje...

— Pan tu dawno przyjechał? — zapytał Dulles.

— Czwarty rok, sir. Nazywam się John Fenton, sir, z Oklahomy.

— Do jakiego kościoła pan należy?

— Do protestanckiego, sir — odpowiedział Fenton.

— To dobrze — skinął głową zadowolony Dulles. — Ale to, że pan nie wie ile kosztuje ryż — to źle!

— Zajmę się tą sprawą — powiedział Fenton szybko — jutro zamelduję panu...

— Sam się tym zajmę — powiedział Dulles z lekkim uśmiechem. — Na rynek!

Rynek wyglądał z daleka jak wielkie mrowisko. Samochód zatrzymał się w odległości stu kroków od długiego rzędu sklepików. Sklepy były małe, o oknach zaślonionych poszarpanymi firankami z szarego, pasiastego materiału. Tłumy ludzi kręciły się w wąskim przejściu między sklepikami.

Fenton skrzywił się mimo woli, ujrawszy białych, wyczerpanych mężczyzn i chude kobiety, w bluzkach rozpiętych na piersi. Obok nich uwiłajały się nagie dzieci.

Przed wejściem na rynek siedzieli żebracy. Wyschnięte, chude ręce wyciągające się po jałmużnę, drżały konwulsyjnie.

Dulles wysiadł z samochodu.

— Pan tam chce iść, sir? — zapytał przerażony Fenton. — Słowo honoru, to bardzo nieostrożne. Może się pan zarazić nie wiadomo jaką chorobą. Moim obowiązkiem, jako towarzyszącego panu...

Dulles, nie słuchając go, ruszył w milczeniu na rynek. Dragale szli z obydwu stron starca.

Fenton zaklął szpetnie i wyskoczył z samochodu. Gwizdał na to, co może się zdarzyć z Dullesem, bez względu na jego zasługi dla Stanów. Starzec widocznie chce szybko zarazić się dżumą, ospą lub cholerą. Ale dlaczego ma ucierpieć on, Fenton?

Jednak o tym wszystkim myślał Fenton wówczas, gdy szedł szybko, starając się dogonić Dullesa.

Fenton dogonił go i ruszył za nim w odległości kroku. Najwięcej bał się o to, by jedna z tych złotych brudnych istot, wypełniających rynek, nie dotknęła go. Usiłował nawet powstrzymać oddech, by jakiś zarazek nie przeniknął do płuc.

Dragale szli z rękami w kieszeniach, lecz umieli jednocześnie tak zręcznie manewrować ramionami i łokciami, że Dulles szedł jak gdyby aleją wyrąbaną w gęstej masie ciał ludzkich.

Dulles zatrzymał się przed sklepem i powiedział drabowi z prawej strony:

— Niech pan zapyta, ile kosztuje ryż?

Dragal zwrócił się do sklepikarza po koreańsku. Fenton gwizdnął ze zdumienia: „Pierwszy raz w życiu widzę białego, który na domiar wszystkiego przyjechał dopiero co ze Stanów i zna ten zwariowany język”.

— Nie ma ryżu — zameldował dragal.

Dulles skinął głową z zadowoleniem i ruszył dalej. Przeszli jeszcze dwadzieścia metrów i zatrzymali się przed innym sklepem. Nie czekając na rozkaz, dragal powtórzył pytanie.

Odpowiedź brzmiała tak samo: ryżu nie ma.

W trzecim sklepie był ryż, lecz kosztował tak drogo, że Fenton jeszcze raz gwizdnął ze zdumienia.

Włóczyli się po rynku co najmniej godzinę. Krzykliwi, natarczywi handlarze usiłowali wyminąć dragali i przedostać się do starca. Podawali mu jakieś buteleczki, zapalniczki, amerykańskie papierosy i pudełka z nie wartym złamanego grosza planacyjnym „korzeniem życia” — żeń-szeń.

Lecz Dulles jak gdyby nie spostrzegał tego wszystkiego. Na jego obliczu nie znać było nawet śladu rozdrażnienia. Szedł spokojnie w czarnym garniturze, sztywnym kołnierzyku, w podobnym do kociołka kapeluszu z ciemnego, twardego filcu.

Po przejściu całego rynku z jednego końca na drugi, Dulles skierował się do samochodu.

— Mam nadzieję, że do domu, sir? — zapytał Fenton z ulgą, sadwiąc się wygodnie na siedzenie samochodu pokryte szarym drelchowym pokrowcem.

— Za wcześniej — odpowiedział Dulles kiwając głową. — Nie zakończyliśmy jeszcze zwiedzania miasta.

— Pałac królowej wdowy, sir?

— Nie. Przedmieścia.

— Przedmieścia?

— Tak. Dzielnice nędzarzy.

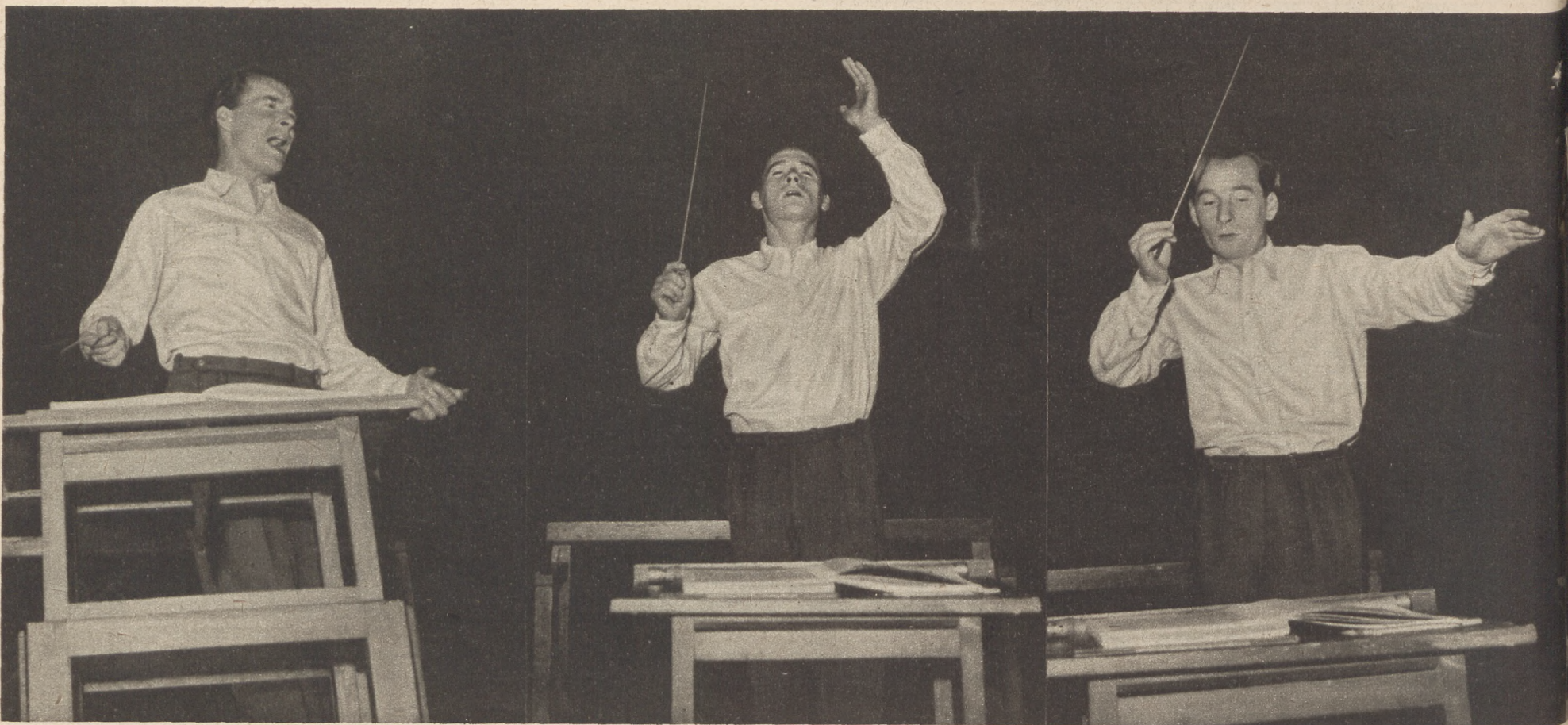
Nie powiedział więcej ani słowa, uważając widocznie rozmowę za skończoną.

Samochody pędziły przez wąską ulicę. Wystraszeni ludzie przytulali się do ścian domów.

Wkrótce ukazały się peryferie. Przez wyłomy w barierze górskiej, otaczającej miasto, widać było nędzne półka ryżowe i kryte słomą, na pół zniszczone chaty. Wiele chat przylepiło się wysoko do skłónów gór, inne beładnie gnieździły się u podnóża. W powietrzu unosiła się dławiąca woń zgniłych ryb. Nagie dzieci bawiły się na śmietniku wykopanym na środku wąskiej uliczki. Cały ten brud i nędza wyglądały jak sztuczne na tle cudownych, zielonych gór.

Dulles znów wysiadł z samochodu. Dragale poszli za nim.

Dokończenie na str. 18



Oto kilka przykładów „niemej” komendy, dawanej przez dyrygenta orkiestrze. W naszym wypadku dyrygentem jest znakomity kapelmistrz Filharmonii

Warszawskiej — Witold Rowicki, a dyrygowanym utworem — V symfonia Szostakowicza, wykonana w Warszawie na otwarcie Miesiąca Pogłębiania Przy-

jaźni Polsko-Radzieckiej. Dyrygent (patrz od lewej) daje orkiestrze kolejno następujące wskazówki: 1) „Wszystkie smyczki! Z rozdzierającą siłą!” — 2) „Ci-

Rozmawiamy o muzyce

ZACZYNAMY!

JERZY WALDORFF — Zdjęcia: W. SŁAWNY

CZYTELNICY: Cóż u licha! Zapowiadaliście, że będziecie nas uczyć o muzyce, a tymczasem dotychczas o tej muzyce ani dudu. Nabijacie nas w puzon.

„Świat”: Nie, bowiem właśnie dziś rozpoczynamy pierwszy cykl informacji, a mianowicie — o orkiestrze symfonicznej.

Czytelnicy (z uznaniem): Aaa!...

Podstawą każdego koncertu symfonicznego jest właśnie gra orkiestry. Ale przeciętny śmiertelnik, odwiedzający nawet dość często sale koncertowe, przywykł patrzeć na orkiestrę, jako na trudną do rozgryzienia całość, której elementów się nie zna i nie analizuje. W rzeczywistości zaś orkiestra jest zespołem kilkudziesięciu artystów, z których każdy pracował przez długie lata nad tym, żeby opanować swój instrument, a od gorszej czy lepszej gry poszczególnego instrumentalisty zależy jakość całej produkcji muzycznej. Warto zapoznać się więc z odpowiedzialną i ciekawą pracą tych ludzi także i dlatego, że znając mechanizm orkiestry można z większym pożytkiem słuchać jej i trafniej oceniać jej wysiłki.

Nazwa „orkiestra” pochodzi z greckiego. Mianem tym oznaczano w teatrze starogreckim przód sceny, gdzie chór recytował i tańczył. Kiedy w epoce Renesansu, pod koniec XVI w. wznowiono dramat grecki w połączeniu z muzyką (taki był początek opery!), muzycy usadowili się na miejscu „orkiestry” i pozostali na nim do dzisiaj.

Nowoczesna orkiestra symfoniczna składa się z trzech podstawowych grup instrumentów, a mianowicie z instrumentów 1) smyczkowych, 2) dętych drewnianych i blaszanych oraz 3) perkusyjnych tj. takich, z których dźwięk wydobywa się przez uderzenie. A oto klasyczny sposób rozsadzenia orkiestry na estradzie:

Uważny obserwator spostrzeże jednak, iż w niektórych filharmoniach orkiestra siedzi inaczej. Najczęściej tak, że kontrabasy przesunięte są na prawo, na przód estrady, a instrumenty perkusyjne cofnięte są do samego tyłu. Dlaczego? Bo tego potrzebują coraz częściej umieszczane przed orkiestrą mikrofony radiowe, mające specjalne wymagania akustyczne.

Całym zespołem, liczącym w wielkich orkiestrach symfonicznych około 120 muzyków, kieruje dyrygent, o którym nieświadomieni sądzą, że jest to jegomość gimnastykujący się — nie wiadomo dlaczego — publicznie przy muzyce. Ileż krzywdy dla dyrygenta w takim osądzie! W rzeczywistości bowiem bez jego ciężkiej i trudnej pracy orkiestra nie mogłaby funkcjonować.

Oto trzy podstawowe zadania dyrygenta:

a) podczas prób uczy orkiestrę grania przeznaczonego do wykonania utworu;

b) podczas koncertu nadaje muzyce właściwe tempa i pilnuje, żeby orkiestranci wiernie odtwarzali to wszystko, co jest podane w partyturze, a że nie może do nich głośno mówić, więc daje wskazówki za pomocą gestów rąk i mimiki twarzy;

c) swoją gestykulacją pomaga słuchaczom do zrozumienia odtwarzanego utworu — że np. w tym miejscu należy zwrócić uwagę na prowadzące melodię wiolonczele, a że w innym, specjalny, dramatyczny akcent nadawany jest utworowi przez głucho pomruk kotłów, itp.

Co to jest partytura? — A może byłoby dosyć na dzisiaj?... Tak! Chyba będzie dosyć.

O partyturze, a potem o poszczególnych grupach instrumentów będziemy mówili w następnych odcinkach, poświęconych w „Świecie” wiedzy o orkiestrze.

kontrabasy
instrumenty
dęte drewniane

I skrzypce

organy

wiolonczele

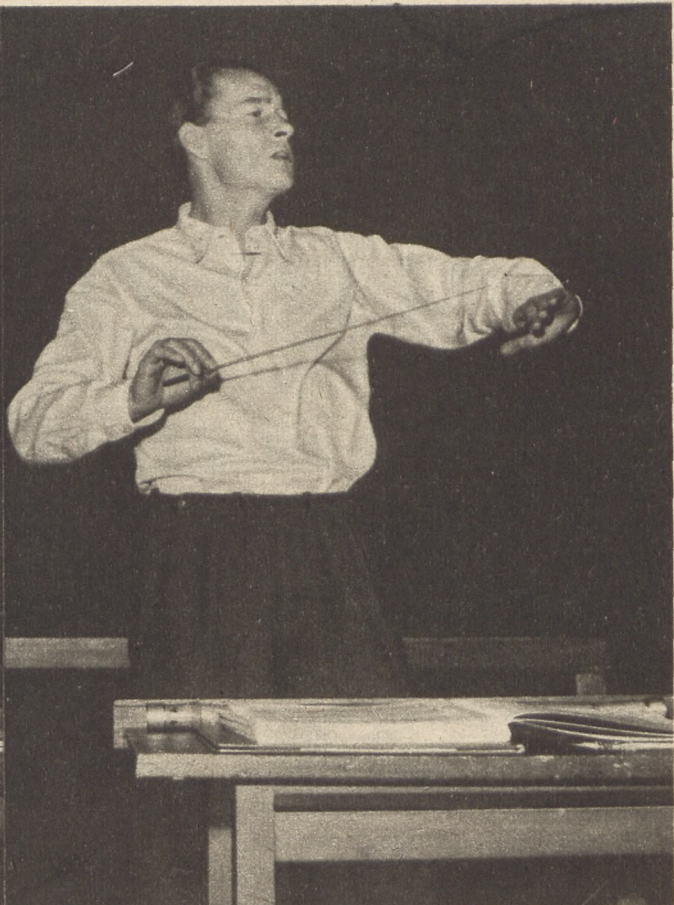
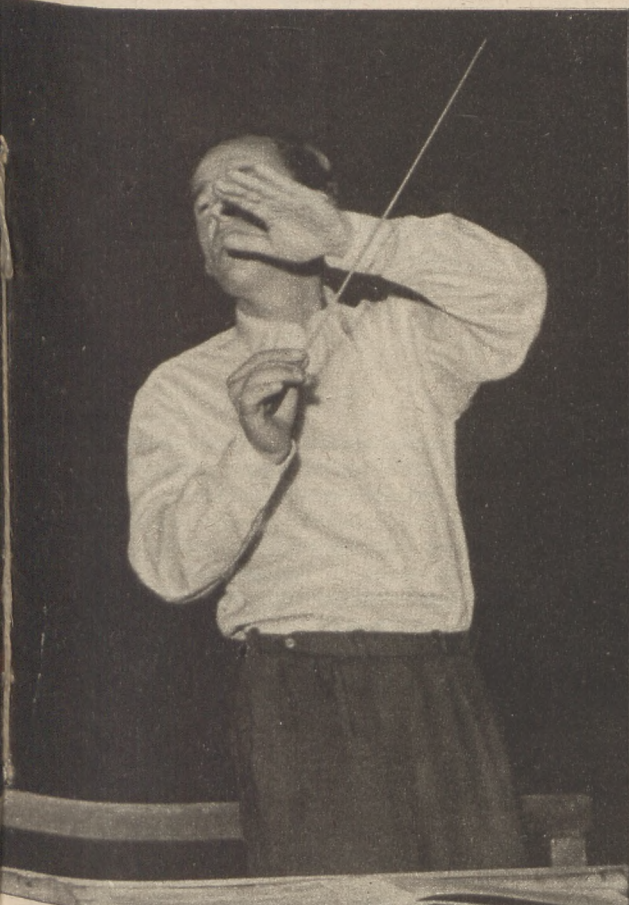
DYRYGENT

perkusja
instrumenty
dęte blaszane

altówki
II skrzypce



Grupa skrzypiec „nasadza” precyzyjnie dźwięk. Na pierwszym planie widoczny I pulpit (wspólna pod-



2) „jeszcze ciszej. Zawiesić brzmienie...” — 3) „Czy aby gracie dokładnie?... Sprawdzę w partyturze” — 4) „Kontrabasy i wiolonczele ciszej! Przecież teraz

melodię prowadzą skrzypce” — 5) „...Trąbki, rytmicznie!!” — 6) „Skrzypce, zamilknąć..” — Dopiero po wielu takich próbach, jak widoczna na zdjęciach, po

możolnej pracy zespołu orkiestrowego i dyrygenta — utwór symfoniczny jest wystarczająco przygotowany do wykonania go przed publicznością na koncercie.



stawka na nuty dla dwóch instrumentalistów) II skrzypiec. Od lewej: J. Karoń i W. Pilewski. — Każda

grupa instrumentów ma swego koncertmistrza, odpowiedzialnego za zestrojenie instrumentów i grę grupy.



Partię fletową z widocznym na twarzy skupieniem gra jeden z najlepszych u nas flecistów — J. Gawryluk.

Rozpoczęty niniejszym cykl informacji o orkiestrze będzie się składał z 9 odcinków. Po wydrukowaniu ich Redakcja „Świata” zorganizuje wspólnie z Filharmonią Warszawską specjalny

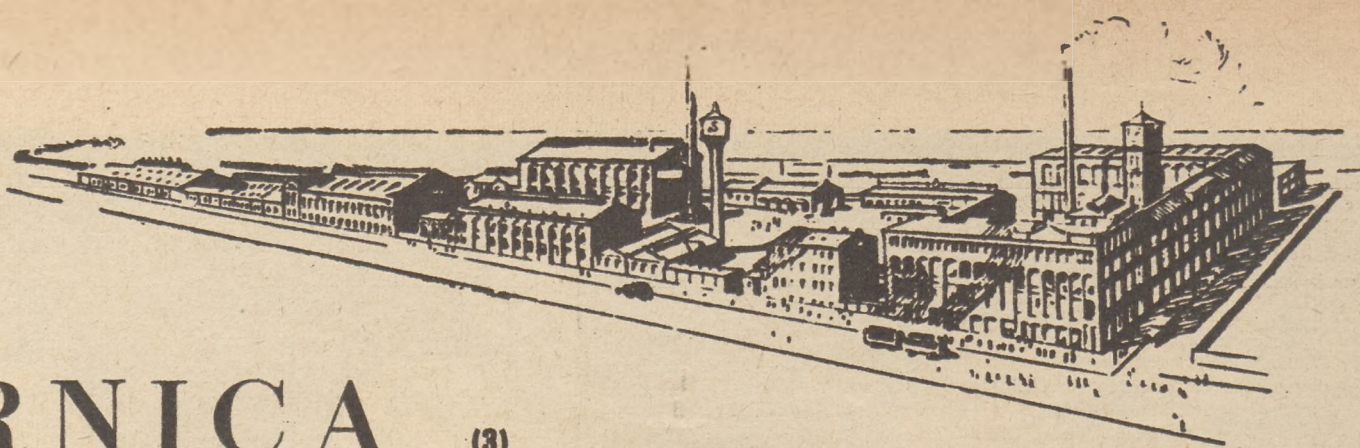
KONCERT — KONKURS

Pośród tych Czytelników, którzy — na podstawie nabytej ze „Świata” wiedzy o orkiestrze — dadzą w konkursie trafne odpowiedzi, będzie rozlosowanych wiele cennych nagród.

HISTORIA JEDNEGO KONCERNU

OŚMIORNICA

LUCJAN WOLANOWSKI



(3)

CIEMNE MACHINACJE NA CZARNYM LĄDZIE

W poprzednich odcinkach naszego reportażu, przedstawiliśmy dzieje wielkiego koncernu tłuszczowego „Unilever” do którego należały również przedsiębiorstwa hitlerowskiej rodziny Schicht — między innymi i w Polsce. „ŚWIAT” opowiada dziś o poczynaniach tego koncernu w Afryce.

DLA KOGO BIJĄ W BĘBNY?

W nocy z 3 na 4 września 1939 roku, dżungla zachodniej Afryki rozbrzmiewała hukami bębnowymi sygnałowych, na których Murzyni od wieków podają sobie między wioskami ważne i pilne wiadomości. Owej nocy, dobosze murzyńscy, opłacani przez brytyjski zarząd kolonialny, uderzali umówionymi znakami, nadając w głąb Czarnej Łądy jednolity tekst depeszy: „Królowa Wiktorja, napadnięta przez zaborczego sąsiada jest w wielkim niebezpieczeństwie i wzywa swego potężnego przyjaciela, by natychmiast spieszył jej z pomocą!”

Oczywiście, „potężny król”, czyli lokalny kacyk, który częstokroć panował tylko nad kilkudziesięcioma lepiankami — głęboko wzruszony dobrą pamięcią królowej Wiktorji, nieszczeniście jakże na nią spadło oraz nadzieją, jaką pokładała w jego pomocy, zwoływał śpiesznie swych najlepszych wojowników, których wysyłał do którejś z osad, gdzie trafiali prosto na... brytyjski punkt werbunkowy. Królowa Wiktorja spoczywała bowiem już wtedy od 38 lat w grobie, ale brytyjskie władze kolonialne nie uważały za wskazane pouczyć swych czarnych poddanych o zmianach personalnych w pałacu Buckingham — i nadal używały marki tej królowej do pokrywania ważniejszych rozporządzeń — jak te na przykład, które wydano bezpośrednio po rozpoczęciu działań wojennych przeciw Niemcom hitlerowskim.

System nadawania wiadomości bębnami stosowany jest — zwłaszcza na Złotym Wybrzeżu — nie tylko przez władze kolonialne; w czasie wolnym



W samym tylko Kongo Belgijskim, koncern ma 757,5 tysiąca hektarów lasów palmowych. Czarne plamy na naszej mapie Afryki — to właśnie tereny szczególnie bezwzględnej eksploatacji. Na lądzie afrykańskim, „Unilever” eksploatuje kolonie brytyjskie, belgijskie, francuskie, portugalskie i hiszpańskie, których obszar dorównuje Stanom Zjednoczonym.

od bębnienia urzędowych komunikatów, dobosze nadają tam w lokalnym narzeczu Yoruba albo Ibo slogany reklamowe: „Kupuj tylko u Leventisa — on sprzedaje taniej niż kto inny!” Ów Leventis jest greckim kupcem, uprawiającym jeszcze na własną rękę handel z Murzynami. Jest on jednym z ostatnich konkurentów prawdziwego władcy tych terenów — koncernu „United Africa Company” („Zjednoczone Towarzystwo Afrykańskie”, należące do „Unilever”). Koncern patrzy na Leventisa dobrodusznikiem — wcześniej czy później, ten przedsiębiorczy Grek popadnie w tarapaty, będzie musiał poddać się koncernowi i wstąpić na jego służbę — jak uczyniło już przed nim tylu innych, samodzielnych kupców.

IDYLLA MAŁENKA TAKA...

W samej tylko Środkowej i Zachodniej Afryce, „U.A.C.” ma 1.771 własnych central handlowych, skupujących od Murzynów ziarna palmowe, służące za surowiec przy produkcji pełnowartościowych tłuszczów. Surowiec ten, przerabiany był jeszcze przed dwunastu laty przez robotników polskich, zatrudnianych przez „Unilever” — ale dziś, kiedy fabryki w Polsce odpisano już ze stanu posiadania koncernu, włada on jeszcze innymi, rozszanymi w 43 krajach na całym niemal świecie.

Amerykanin Gilbert Burok, który przed czterema laty zwiedził plantacje i faktorie „U.A.C.” w Afryce, tak idyllicznie opisuje „pracę” jednej z faktorii:

„Punktualnie z uderzeniem godziny siódmej, zupełnie jak gdyby postawiło go na nogi bicie w dzwony okrętowe na pobliskiej przystani, Cecil Humprey, kierownik należącej do „United Africa Company” stacji handlowej w Opobo, wychyla szklanekę herbaty, wkłada biały hełm i śpieszy wiodącą w dół i obramowaną palmami ścieżką, poprzez kamienne schodki — ku rzece Niger. Zapowiada się bardzo pracowity ranek. Jak okiem sięgnąć — żółtawe fale rzeki upstrzone są łodziami tubylców. Wiosła lśnią w promieniach słońca, przedzierających się przez niskie, deszczowe chmury. Roje handlarzy wyladują już swe cenne ładunki oleju palmowego i ziaren palmowych. Znajduje się między tymi handlarzami również jedna z najstarszych okolicznych handlarek — Mercy Pepple, która płasząc i papląc, proponuje nabycie ziaren palmowych”.

Amerykanin opisuje z zachwytem, jak szybko i sprawnie przebiega selekcja i odbiór towaru, jak błyskawicznie odbywa się wypłata — a jakże! — w gotówce, w dobrej, brzęczącej monecie. „Sielanka” ujawnia się dopiero w zakończeniu, gdy dowiadujemy się, że

„nie mija nawet godzinka, a już większość tej wypłaty znajduje się z powrotem w kasie pana Humpreya”.

MURZYN SPRZEDAŁ SWOJE — MURZYN MOŻE ODEJŚĆ

Rzecz w tym, że wszystkie sklepy na przystani i prawie wszystkie na całym tym obszarze, należą do koncernu, który też dyktuje ceny zarówno na nabywane przez siebie surowce jak i na sprzedawane a Murzynom niezbędne do życia towary. Jasne, że koncern dba już o to, by nożyce cen między ziarnami palmowymi a tkaninami, solą czy papierosami utrzymać w odpowiedni (dla siebie!) sposób i że Murzyni „płasząc i papląc”, oddają w swej naiwności koncernowi cały niemal plon swej ciężkiej pracy.

Praktyki te powtarzane są przez okrągły rok na eksploatowanych przez koncern obszarach. Do kasy w Londynie idą też zyski z transakcji dokonywanych w Kano — miejscowości położonej o z górą tysiąc kilometrów na północ od Opobo — w tym właśnie Kano, które jest najstarszym miastem muzułmańskim na zachód od Konstantynopola. Muezzini z wież minaretów chwają tam Allacha a kupcy na największym na świecie targowisku orzechów ziemnych, przeklinają dławiący ich koncern. Do tej samej kasy w Londynie płyną dochody z transakcji w Ibadanie w Nigerii, gdzie ponad pół miliona ludzi wegetuje pod rozpalonymi dachami baraków z żelaznej blachy, zwanych na uragowisko „beczkami śmiechu”.

W roku 1947, „U.A.C.” nabyła od Murzynów produkty palmowe za 115 milionów dolarów, ze swych własnych zaś plantacji, uzyskała czysty olej palmowy wartości 6 milionów dolarów. Ponadto, 8 milionów dolarów czystego dochodu przyniosło koncernowi 518 jego pływających na rzekach Nigrze i Kongo statków żeglugi śródlądowej oraz własna flota oceaniczna, składająca się z 15 statków o łącznej pojemności 120.000 ton i utrzymująca łączność między portami afrykańskimi a fabrykami koncernu na Wyspach Brytyjskich. Przy tym wszystkim, Murzyni afrykańscy zakupili od koncernu towarów za 145 milionów dolarów!

Tereny, eksploatowane niemal wyłącznie przez koncern w Afryce, dorównują prawie obszarem Stanom Zjednoczonym a zamieszkuje je 50 milionów ludzi. Na tereny te składają się kolonie brytyjskie, belgijskie, francuskie, portugalskie i hiszpańskie. Ludność tamtejsza — to w 99% Murzyni i w 99% analfabeci. Dzieje eksploatacji każdej z tych kolonii — to historie bezprzykładnego wyzysku. Dla przykładu wspomnijmy choćby pobieżnie o Nigerii, gdzie 60% wszystkich sprzedawanych towarów przechodzi przez sklepy „U.A.C.” Nigeria jest największą brytyjską kolonią koronną — obszar jej jest trzykrotnie większy od naszego kraju a ludność dorównuje liczbie ludności Polski. W każdej osadzie co najmniej połowa budynków należy do koncernu. „United Africa Company jest rządem” — mawiają eksploatowani Murzyni, którzy w swej prostocie ducha stwier-

dżają stan faktyczny, nie wnikając w subtelności brytyjskiego ustawodawstwa kolonialnego.

Formalnie bowiem, na papierze, koncern nie sprawuje rządów w tej kolonii — po co bowiem miałby brać na siebie koszty administracji, kiedy mogą to czynić podatnicy? Koncern zadowolona się „tylko” bezprzykładną eksploatacją bezbronnych Murzynów w tym kraju, gdzie nie istnieją nawet żadne namiastki ustaw antykartelowych. Nawet najbardziej prawicowe źródła zgadzają się, że koncern jest zniechęcony przez Murzynów, bezsilnych — przynajmniej do czasu! — wobec potężnej maszyny wyzysku.

ABY NIE WTARGNĘLI DO WIEZIENIA...

Np. poseł do parlamentu brytyjskiego Gilbert McAllister, (bardzo by się obraził, gdyby mu powiedziano, że przynajmniej pod tym względem lewica się z nim zgadza!) zwiedziwszy w zeszłym roku tereny eksploatowane przez koncern w Nigerii napisał, że „baraki w Lagos są wprost niewiarygodne — nawet dla kogoś, kto zna dzielnicę nędzy w Glasgow, gdzie przypada 25 tysięcy ludzi na kilometr kwadratowy”. Pan poseł zauważył przy tym, że przy wielopiętrowych budynkach w jego rodzinnej Szkocji przeludnienie to jeszcze daje się mniej we znaki, niż w Lagos, gdzie ludzie gnieźdzą się w parterowych lub piętrowych ruderach. McAllister opisuje „raj” stworzony przez koncern w Nigerii — opisuje spustoszenia czynione przez trąd i gruźlicę, opisuje żebranię dzieci, ale dodaje na pociechę, że lokalny emir otrzymuje gażę wyższą, niż premier Wielkiej Brytanii. McAllister pisze dalej: „Zwiedzaliśmy miejscowe więzienie, gdzie warunki były tak wspaniałe w porównaniu z panującymi na swobodzie, że dziwiłoby się, w jaki sposób udaje się powstrzymać ludzi z zewnątrz, aby tam nie wtargnęli”.

ZACZEŁO SIĘ OD LEOPOLDA

Pierwszym nabytkiem starego Levera były koncesje w Kongo Belgijskim, które jęczało pod najbardziej barbarzyńskim systemem wyzysku zorganizowanym przez Leopolda II potrzebującego wiele pieniędzy na swe hulastyczne życie. W kolonii tej koncern zatrudnia obecnie na własnych plantacjach 40.000 Murzynów a jego — również własna — olejarnia wyprodukowała w 1947 roku 37.000 ton oleju palmowego.

Po Kongo Belgijskim, koncern zwrócił swe oczy na Nigerię, gdzie do roku 1900 wyłączność na eksploatację i rządzenie miało na mocy przywileju królewskiego „Królewskie Towarzystwo Nigru”. Z nastaniem naszego stulecia, przywilej ten został zmieniony w tym sensie, że administracja przejęła rządy a Towarzystwo skoncentrowało się na handlu. W 1919 roku, zaczęła z nim konkurować inna łupieżcza spółka, zwana niemniej szumnie „Towarzystwem Afrykańskim i Wschodnim”. Zażarta walka konkurencyjna osłabiała oba Towarzystwa, które nawzajem podbierały sobie swych pracowników, poprzez wyższe uposażenia, obniżali ceny na towary i podwyższali ceny na zakupywane surowce. Wiele też (wspólnych) kłopotów miały obie

instytucje z kierownikami faktorii, którzy żyli między Murzynami jako jedyni biali ludzie i — przez nikogo nie kontrolowani — uprawiali „na lewo” swój własny handelek. Nabywali mianowicie surowce w okresie obniżki cen a wciągali je do ksiąg dopiero po dużej zwwyżce — zagarniając różnicę do swych kieszeni.

Kiedy ostatecznie doszło do połączenia się obu konkurentów, to byli oni już tak osłabieni walką, że powstałe z tej fuzji „United Africa Company” dojrzało znakomicie do wpadnięcia do worka „Unilever”. Na czele tego nabytku stoi obecnie wicehrabia Trenchard, który dawniej w służbie króla mordował Murzynów w wojnach kolonialnych, by dziś w służbie „Unilever” wyciskać z nich siłę roboczą. Znajdujemy też w Radzie Nadzorczej naszego znajomego p. Heywortha, który — jak niegdyś do Warszawy — tak teraz przybywa raz na rok na zebrania „U.A.C.” w afrykańskiej siedzibie koncernu.

DAWNIEJ NAKRĘCAŁ GRAMOFON

Właściwym kierownikiem tego giganta na Czarnym Lądzie jest niejaki Frank Samuel, który zaczawszy karierę od pracy w ojcowskim sklepie z instrumentami muzycznymi w Londynie, opracował później udany model gramofonu a obecnie nakręca wyłączenie maszynę wyzysku i eksploatacji Murzynów. Dobrze nastawił tę maszynę: w roku 1947 wycisnęła ona 10 milionów dolarów czystego zysku. Prosta transakcja handlowa, jaką jest kupowanie od producenta surowca dla koncernu a sprzedawanie mu towarów, pomnożona przez miliony takich faktów i z uwzględnieniem głodowych płac czarnych robotników, daje więc fantastyczne dochody. Dodajmy, że światowy koncern „dorabia” sobie jeszcze na kredycie danym „U.A.C.”, na dostarczanych mu towarach oraz ekwipunku — czyli zysk faktyczny akcjonariuszy jest znacznie wyższy. Dodajmy też — i niech to samo ujawnia obłudę labourzystowskiej „polityki kolonialnej” — że w roku ubiegłym koncern przyniósł czystego dochodu blisko dwa razy tyle, ile rząd brytyjski załwestował we wszystkich swych koloniach koronnych w latach 1945 — 1950 łącznie.

Na tle nędzy ludności afrykańskiej, białym pracownikom koncernu powodzi się wspaniale. W całej Afryce Zachodniej i Kongo jest ich zaledwie 1.125. Są doskonałe płatni, mieszkają w luksusowych willach z opłacaną przez koncern murzyńską służbą domową, a po każdym 5 miesiącach „trudu”, przysługuje im miesiąc urlopu z opłaconym przejazdem powrotnym z Afryki do Londynu lub Brukseli. Urzędnicy ci kierują się wobec Murzynów starymi kanonami moralnymi koncernu. Jeden z dyrektorów „U.A.C.” zauważył więc, że „kiedy Murzyni czynią postępy w cywilizacji, to stają się trudni do kierowania”, drugi znowu obliczył, że przy głodowych płacach, praca 80 Murzynów jest tańsza niż utrzymanie jednego traktora. Wprowadzając w życie te maksymy, koncern, który przy braku ludzi podczas wojny zatrudniał Murzynów na stanowiskach urzędniczych (widocznie czynili postępy w cywilizacji), zwolnił ich kiedy tylko mógł znowu dostać białych (widocznie Murzyni stali się trudniejsi do kierowania).

ORZECHY ZIEMNE A „SOCJALIZM”

W „Wyspie Pingwinów”, Anatol France każe swemu bohaterowi asystować wraz z tłumaczem na posiedzeniu Kongresu. Bohater nie wierzy swym uszom, kiedy przewodniczący Kongresu wylicza wojny jakie kraj

jego rozpętał dla uzyskania rynków zbytu. Tłumacz szybko wyjaśnia, że tak jest istotnie: „Kiedy któraś z gałęzi naszego przemysłu nie znajduje zbytu na swe towary, to trzeba wojną otworzyć nowe rynki. Mieliśmy więc w tym roku wojnę węglową, wojnę miedzianą i wojnę bawełnianą. Na Trzeciej Zelandii zabiliśmy dwie trzecie ludności aby zmusić pozostałych przy życiu mieszkańców do kupowania u nas parasoli i szelek”.

Scena ta — w przełożeniu na Izbę Gmin — przychodzi na myśl, w związku z pewnym wydarzeniem, jakie miało miejsce we wspomnianej izbie.

Otóż w 1946 roku, koncern „U.A.C.” przedłożył rządowi Partii Pracy plan wzięcia pod uprawę 1.300.000 hektarów w Afryce, gdzie miano już w roku 1952 wyprodukować 190.000 ton oleju z 450.000 ton orzechów ziemnych. I tak minister Wyżywienia Strachey powstał z miejsca i oznajmił Wysokiej Izbie, że rząd labourzystowski przyjął ten projekt a wykonanie zlecił — do czasu utworzenia „Zamorskiego Towarzystwa Żywnościowego” — właśnie... projektodawcy. Kroniki podają, że „wrażenie było tak ogromne, jak gdyby Churchill wysunął kandydata na premiera”. W łonie samej Partii Pracy, wrażenie było ogromne — przecież w zaraniu swych rządów, brytyjscy socjaliści powierzały wielkokapitalistycznemu koncernowi realizację swych planów! Stenogram notuje, że „po przemówieniu mr. Strachey’a, dały się słyszeć wybuchy śmiechu na prawicy i ostre pytania na lewicy”. Pytający usłyszeli jednak tylko tyle, że „koncern ma doświadczenie w tych sprawach”. 6 listopada Strachey mile połaskotał dumę „Unilever” oświadczając, że „United Africa Company” i ci wszyscy, którzy oficjalnie i nieoficjalnie odpowiedzialni są za szybkie realizowanie „Operacji Orzechy Ziemne”, zasłużyli sobie na wdzięczność ludu brytyjskiego”. Lata wykazały, że lud brytyjski nie bardzo ma za co dziękować...

OBIETNICE I RZECZYWISTOŚĆ

Plan ten bowiem, który mr. Strachey reklamował „jako niezwykle i interesujące połączenie metod i celów inicjatywy prywatnej z inicjatywą i finansowym poparciem rządu”, miał już w roku ubiegłym pokryć połowę brytyjskiego niedoboru tłuszczowego



W pierwszych miesiącach r. 1925 lord Leverhulme (ostatni na prawo) odwiedził króla Nigerii - Onitchy.

i zaoszczędzić Wielkiej Brytanii 10 milionów funtów szterlingów rocznie. W istocie jednak, do roku 1949, uprawiono zaledwie 2% przewidzianych planem gruntów, a zbiór wyniósł mniej orzechów ziemnych niż „ich” dostarczono do siewu. Do marca 1949 wydatki miały dwukrotnie przewyższyć zaplanowane. Nadmienić trzeba, że koncern otrzymał od rządu na początek 24 miliony funtów szterlingów, a stała dotacja roczna wynosić miała 7.750 tysięcy funtów.

Wyszły na jaw braki w księgowości całego przedsięwzięcia, ale — jak pocieszał swych słuchaczy w Izbie Gmin 22 listopada 1949 roku wierny starym miłościom mr. Strachey — „ja nie chcę sugerować, że wszystkie trudności związane z rachunkowością należy zwać na „United Africa Company”.

Koncern musiał się nieźle obłowić podczas 16 miesięcy swego beztróskiego, niekontrolowanego gospodarzenia kolosalnymi funduszami. Ale tu już chodziło nie tylko o pieniądze — sprawa była znacznie poważniejsza.

MARGARYNA CZY ARMATY?

Jak pamiętamy, hitlerowcy kazali narodowi niemieckiemu wybierać między masłem a armatami. Pamiętamy też, jak się to źle skończyło. Niepomny tej nauczki, koncern wybrał wraz ze swym mocodawcą — rządem brytyjskim również armaty zamiast margaryny, na którą czekali podatnicy brytyjscy.



Koncern opłaca sówicie usługi lokalnych kacyków, którzy — jak ów „władca” z Abekuty — zasiadają na złotym tronie, kiedy miliony ich rodaków żyją w nieopisanym nędzy. Kacykowi patronują portrety królewskie.

Afryka jest bowiem ważnym ogniwem w systemie agresji, przygotowywanym przez Blok Atlantycki. Tanganika jest znowu krajem podległym teoretycznie ONZ — Wielka Brytania ma tam tylko powiernictwo, a przeto wszelkie roboty natury wojskowej są tam zabronione. Realizacja „Operacji Orzechy Ziemne” stała się wygodnym płaszczykiem — jak i na innych terenach afrykańskich — do poprowadzenia na wielką skalę planów wojennych. Już w jesieni 1949 roku zjawiała się na terenach rzekomych plantacji orzechów ziemnych amerykańska misja wojskowa, do której należał też taki nowotwór w dziejach dyplomacji, jak „attache geograficzny” ambasady USA w Kairze. Misja ta, której z ramienia Anglii towarzyszył kontradmirał Albert Poland, interesowała się pracami, które mają niewiele wspólnego z hodowlą orzechów ziemnych. Prace te polegają m. in. na łączeniu liniami kolejowymi portów Wschodniej i Zachodniej Afryki, budowie portu w Mtwara w Afryce Wschodniej, gdzie — jak podawało oficjalne sprawozdanie — „jest idealne miejsce nie tylko dla ładowania orzechów ziemnych ale i z punktu widzenia sił zbrojnych”. Sprawozdanie dodawało, że do nowobudowanego portu będą mogły zawijać nawet największe okręty wojenne Jego Królewskiej Mości. Port ten rozbudowywany jest również jako baza dla hydroplanów i samolotów wojskowych. Konstruuje się też (wszystko dla orzechów ziemnych!) rurociąg, który ma przekazywać rocznie 90 tysięcy ton paliwa w głąb lądu.

Zaangażowani do prac „fachowcy” też mieli dotąd w swym życiu niewiele wspólnego z uprawą orzechów ziemnych. Pierwszym generalnym dyrektorem z ramienia rządu został b. dyrektor departamentu robót w brytyjskim Ministerstwie Wojny a uprzednio Naczelnym Inżynierem w Dowództwie Południowo - Wschodniej Azji — generał major Desmond Harrison. Kiedy ów przeszedł na emeryturę, to powierzył całokształt prac w ręce innego „agronoma” — generała - majora Adamsa.

Tak więc zamiast orzechów ziemnych, na Czarnym Lądzie hoduje się zarzewie nowej wojny. Doglądają tej pracy amerykańskie misje wojskowe, patronują jej amerykańskie koncerny, które już od roku 1941 powoli wykupują posiadłości brytyjskie i czyhają na rozpad imperium.

*

Dlaczego koncern „Unilever” poobsadzał hitlerowcami większość stanowisk kierowniczych w swych fabrykach w Polsce? Jak Goering brał łapówki od koncernu w... makuchach? W jaki sposób koncern wykupywał w Polsce fabryki przemysłu tłuszczowego? Jak Anglicy szantażowali Schichta... placem na Żeraniu? Dlaczego hitlerowiec Schicht zaangażował rabina do swej fabryki w Trzebinie?

...opowie Wam „ŚWIAT” w następnym numerze.

O PEWNEJ ROZMOWIE W POCIĄGU

W POCIĄGU osobowym z Poznania do Szczecina, w jednym z przedziałów trzeciej klasy rozsiedli się pasażerowie: dwoje ludzi z chłopską ubranych, zapewne małżeństwo, w starszym już wieku, naprzeciw nich z miejską się noszący pewny siebie jegomość, znajomek chłopskiej pary, a w rogu, koło drzwi, młoda dziewczyna z książką w ręku. Książka miała długi bardzo tytuł i trudna musiała być w czytaniu, bo dziewczyna raz po raz podnosiła wzrok i patrzyła przez otwarte okno na piękne szamotulskie pola, przecięte kolejową linią, po której kłekał teraz pociąg.

Rozmowa toczyła się między chłopską parą a ich znajomkiem.

Chłopka w czarnej spódnicy i wyszywanej bluzce, okrytej cienką wełnianą chustą, odsunęła znad oka kosmyk gładko przyczesanych włosów i zagadnęła siedzącego naprzeciw niej znajomka:

— Wiecie? W tym Poznaniu widzieliśmy tę nową kwiaciarnię! Ależ to pięknie ją pobudowali.

— Co?! Choć to MHD, ale przyznać trzeba, że prywatnej nawet takiej nie było. Cały Poznań chodził oglądać. W pierwszych dniach to byście się do wystawy nie docięli...

W głosie brzmiała дума poznaniaka, że to w jego grodzie, nawet taka drobna rzecz — kwiaciarnia — budzi zachwyt prowincjuszy. Na chwilę nastroiło go to przyjaźnie do tego co w Polsce nowe, więc wielkodusznie dorzucił:

— To trzeba i m przyznać: potrafią ładne rzeczy budować...

Dziewczyna przy drzwiach drgnęła, złożyła książkę i spojrzała na mówiącego, jakby chciała coś wtrącić, ale ubiegła ją chłopka, która nerwowo strzepując pył z sukni, syknęła z niespodziewaną pasją.

— I m łatwo budować, jak ludzi zewsząd gnają do pracy, jak młodych po wsiach buntują, żeby rzucali widły i szli do miast na murarzy, techników, inżynierów! A na wsi niech starzy się martwią, jak pole obrobić. Nam dwóch już synów zabrali, a parobka trzymać nie dadzą! Zresztą skąd go wziąć?

— Jak to wam synów zabrali?

— Ano po prostu. Jeden był słabowity od dziecka, do pracy na roli nie nadawał się, poszedł do szkół. Jest teraz na Akademii Medycznej w Szczecinie. Ludzi będzie leczył. No niech tam. Tego z dobrej woli daliśmy. Ale drugi był silny jak smok. Worek żyta jedną ręką podnosił. Zeszłej zimy wzięli go na jakiś ich kurs i wrócił odmieniony. „Uczy się będzie na technika” — powiedział. „Grosza ci nie dam” — ojciec mówi, a on się śmieje, bo mu jakieś stypendium obiecali. I postawił na swoim. Teraz uczy się w Poznaniu i najmłodszego nam jeszcze buntuje. A jak się go pytam, kto jesienią będzie orać — to mówi, że z traktorem przyjedzie.

— Bardzo przepraszam, że się wtrącam — odezwała się nagle dziewczyna — ale ja nie bardzo rozumiem, na co pani narzeka?

— Widać, żeście nie ze wsi, panienko! — zagrzmiął chłop od okna — Co wy myślicie, że ja potem dzieci chował, by mi się po miastach bisurmaniły?

Dziewczyna spłoszowała i urywanymi, ostrymi zdaniami, poczęła nieskładnie tłumaczyć to wszystko, co się w Polsce od lat sześciu dzieje. Wtrąciła w to swoje osobiste dzieje: córka robotnika, dzieciństwo w biedzie, a młodość nagle w szkołach, a teraz jest na uniwersytecie! Po chwili opanowała się, ale ton jej słów był tak mocny, że nie ośmielił się jej nikt przerywać. Mówiła o drodze do socjalizmu, który odmienia niezmienny dotąd los milionów ludzi.

— Czyż wy dzieciom własnym nie życzyacie lepszej doli? Przecież im szybciej oni się wykształcą, tym szybciej i wasz los się odmieni. Z budowanych hut będziemy mieli coraz więcej stali i żelaza, a to znaczy coraz więcej narzędzi do pracy w mieście i na wsi. Traktor, który wasze pole orać będzie zbuduje może wasz syn, a wy zamiast się cieszyć, chłopakowi zatruwacie życie.

Mówiła długo, żarliwie, przekonywająco, aż rozchmurzyły się twarze chłopskiej pary i wreszcie poczęli przytakiwać, a kiedy dziewczyna skończyła, odezwała się chłopka:

— Nie dziwcie się nam. My proszę ludzie. Nieuczeni. A nam tak jeszcze nikt tego nie tłumaczył jak wy.

— To niedobrze — szepnęła dziewczyna. — To trzeba zmienić...

Rozmowa teraz stała się ogólna. Mówiono o tym, jak to będzie w Polsce, gdy wykształcą się te setki tysięcy młodych ze wsi i osiedli robotniczych.

— Kilka lat jeszcze, a staniemy mocno na nogach! — zawyrokował poznaniak.

— Aby tylko wojny nie było... — westchnęła chłopka.

— Nie będzie! — powiedziała mocno dziewczyna.

— My wywalczymy pokój.

— No to wtedy niech ktoś z nami zadrzeć spróbuje. My i m wtedy pokażemy!...

— Komu? — z uśmiechem zapytała dziewczyna.

— No tym Adenauerom i Trumanom, co nam chcą zabrać nasz trud. Niedoczekanie ich.

* * *

Powtórzyłem wiernie usłyszaną w pociągu rozmowę. Piękna rozmowa, ale jest w niej ziarno gorczy. To słowa chłopka do dziewczyny: „nam tak jeszcze nikt tego nie tłumaczył jak wy!”.

„To niedobrze” — szepnęła dziewczyna — „To trzeba zmienić...”

Zmienimy? Zmienimy. To należy do realizacji Sześcioletniego Planu.

EDMUND OSMANČZYK

DULLES W KOREI

Dokończenie ze str. 11

— Niech pan zostanie — powiedział Dulles cicho, spostrzegłszy, że Fenton ma zamiar towarzyszyć mu. — Pobrudził pan mundur.

— Co pana tutaj interesuje, sir? — zapytał zrozpaczony Fenton.

— Ryż — odpowiedział Dulles.

Fenton usiadł z ulgą. Wszystko było teraz jasne: stary załatwia swoje interesy. Jeszcze dziś da depeszę do Stanów, że można tu sprzedać ryż za potrójną cenę. Nawet najbardziej zleżały — żółci porządku go z apetytem. To spryciarz!

Gdyby on, Fenton, nie był ciamajdą, mógłby z łatwością oddać Dullesowi jakąś drobną przysługę. Trzeba tylko dowiedzieć się o ceny ryżu na prowincji, o widoki na urodzaj i zapośredniczyć w interesach z kupcami seulskimi... Dullesowi nie wypada chyba nawiązywać z nimi bezpośrednich kontaktów.

Fenton wyteżył pamięć, zastanawiając się, kto z intendentury mógłby mu pomóc w tej sprawie. Tymczasem Dulles szedł wąską, cuchnącą ulicą w towarzystwie drągali. Szedł powoli, ciężkim krokiem, rozglądając się na wszystkie strony.

W miarę jego posuwania się naprzód, ulica pustoszała. Ludzie siedzący we drzwiach chat, wchodzili szybko do wnętrza.

Nagle Dulles zatrzymał się i wszedł do chaty. Ujrzał mały, brudny pokój. Na podłodze siedziało sześcioro ludzi — mężczyzna, kobieta, starzec i troje nagich dzieci. Jedli czumizę.

— Zapytajcie ich kiedy ostatni raz jedli ryż? — powiedział Dulles nie odwracając się. Jeden z drągali natychmiast przetłumaczył jego pytanie.

— Zapomnieliśmy — odpowiedział Koreańczyk z oczami utkwionymi w ziemi, prawie nie poruszając wargami.

— Tak... — rzekł Dulles i wsunął rękę do kieszeni. Ludzie drgnęli. Dulles wyjął portfel i wybrałszy powoli nowiutkiego dolara położył go w środku pokoju na podłodze. Poczem wyszedł z chaty powolnym, nawet nieco uroczystym krokiem.

Po powrocie do samochodu, zdjął kapelusz podobny do kociołka i położył na kolanach.

— Do domu — wydał krótki rozkaz.

Tak, wszystko wyglądało tak właśnie, jak mu mówiono. W kraju nie ma żywności. We wsiach panuje już widocznie głód.

Kiedy Chan Men, przedstawiciel Li Syn Mana w ONZ dowodził, że sytuacja z ryżem jest katastrofalna, że na tym tle mogą wybuchnąć poważne zamieszki i że wówczas trudno będzie rozpocząć wojnę — Dulles nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów katastrofy.

Obecnie przekonał się naocznie, że ryżu w kraju naprawdę nie ma.

„Więc cóż... — pomyślał zimno — zwycięska wojna rozstrzygnie również to zagadnienie...”

— No i co, sir. Udany zwiad? — zapytał wesoło Fenton, by przerwać uciążliwe milczenie.

— Tak, dowiedziałem się czego chciałem — odpowiedział cicho Dulles.

— Z ryżem jest bardzo kiepsko, sir — ciągnął dalej Fenton. — A przecież dla Koreańczyków ryż jest podstawowym pożywieniem. Kto ma zapasy ryżu mógłby zrobić bussines w tym kraju.

— Sądzi pan? — zapytał Dulles zwracając się lekko w stronę Fentona.

— Jestem przekonany, sir. Murowana sprawa. Mógłbym panu w tym pomóc, sir. Mam tu duże stosunki.

— Wie pan co, mój przyjacielu — rzekł Dulles z prawie niedostrzegalnym uśmiechem — obawiam się, że nie uda się panu zarobić na ryżu. Ale w najbliższym czasie będzie pan miał niezłą szansę zrobienia dobrego bussinesu.

— Tak, sir? — rzekł Fenton, przysuwając się do starca. Czuł, że zaczyna się rzeczowa rozmowa ludzi interesu.

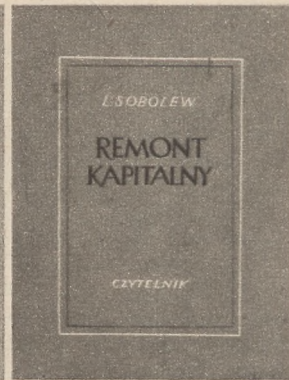
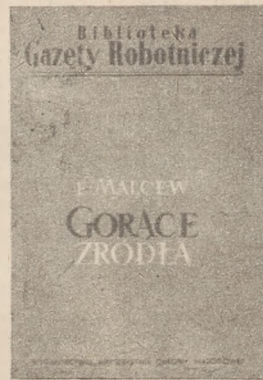
— Będzie pan miał taką okazję — powtórzył Dulles — ale w tym celu musi pan...

— Co mianowicie, sir? Jestem gotów.

— Musi pan przestać lękać się brudu i... krwi. Nie trzeba być maminy synkiem, mój przyjacielu, to nie jest cecha amerykańska.

Dulles włożył kapelusz i przez całą drogę nie powiedział ani słowa więcej.

Przekład ADAMA GALISA



ŚWIAT KSIĄŻEK

W PAŹDZIERNIKU, tradycyjnym już Miesiącu Pogłębiecia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej nasze świeżo założone Stowarzyszenie Książkowych Moli (S.K.M.) zajęło się przeglądem ukazujących się u nas coraz obficie przekładów z literatury radzieckiej.

Mamy bardzo wiele do odrobienia. Przez trzydzieści lat byliśmy odcięci od życia i literatury kraju, który po zwycięstwie wielkiej Rewolucji Październikowej wkroczył na drogę Socjalizmu i nie wiedzieliśmy nic albo prawie nic o zmaganiach i osiągnięciach narodów radzieckich.

Podczas gdy większość pisarzy krajów kapitalistycznych zacieśniała coraz bardziej krąg swoich obserwacji, degradując piękną sztukę pisaną do pesymistycznych dumań nad własną bezużytecznością społeczną, — o miedzę od nas, z pnia najszerszych mas ludowych, wyrosła nowa literatura, odzwierciedlająca nadzieje, pragnienia i walkę całego ludu o lepszą przyszłość.

Przed dwoma tygodniami S.K.M. wspominał Wam już o powieści Leonida Sobolewa pt. „Remont Kapitału”. (Nakł. „Czytelnika” przekład Wacławy Komarnickiej). Mamy nadzieję, że wszyscyście już ją przeczytali. Kto nie zdążył, niech to uczyni teraz. Koniecznie, bo książka jest doskonała i niezwykle zajmująca. Niesposób oderwać się od niej. Opisując życie carskiej marynarki przed I-ą wojną światową, Sobolew z pasją i talentem wielkiego narratora ukazuje źródła Rewolucji, która wstrząsnęła światem i zrodziła Nową Erę. Naszą Erę.

Czekamy niecierpliwie na słynne opowiadania morskie Sobolewa z Wiekowej Wojny Ojczyźnianej pt. „Dusza morska”, które w roku 1943 otrzymały Nagrodę Stalinowską.

Walce i bezmiernej ofiarności człowieka radzieckiego na szerokim zapleczu frontów Wojny Narodowej poświęcone są dwie powieści z życia radzieckich kolchozów: E. Malcewa „Gorące Źródła” (Biblioteka Gazety Robotniczej) i H. Nikołajewej „Zniwa” (Numery 2 i 3 miesięcznika: „Literatura Radziecka”).

Kolchoźnicy radzieccy wiedzieli, że „tyły — to także front” i że od ich wysiłku zależało zaopatrzenie bohaterskich armii. W chwilach gdy „we wsi pusto jak wymiółł, żywa siła z gospodarstwa wycieka” — a „czarny najazd rozlewa się po rosyjskich miastach i wsiach jak cuchnąca gnojówka” (E. Malcew) — do walki o chleb stają kobiety, starcy i młodzież. Jest im ponad wszelki wyraz ciężko. Ale wysoki poziom uświadomienia politycznego i głęboki, czynny patriotyzm mobilizują siły twórcze narodu i potęgują je z każdym dniem. Aż do ostatecznego zwycięstwa.

Ani Malcew ani Nikołajewa (Nagroda Stalinowska!) nie zamykają oczu na ciemne strony życia. Realistyczne pióro pisarzy radzieckich maluje całą prawdę o tych trudnych wojennych i powojennych latach: rozdarte, rozbite wojenną rozłąką małżeństwa, ból i łzy zawiedzionej miłości, załamania słabszych jednostek.

Te powieści o powszednim dniu radzieckiej wsi ukazują nam prawdziwe oblicze bezklasowego społeczeństwa, nowe piękno twórczej, pokojowej pracy budującej życie i świadomie przeciwstawiającej się siłom zniszczenia i śmierci.

...Z cyklu „Pisarze Bojownicy o Pokój” ukazała się nakładem PIW-u (Biblioteka „Trybuny Wolności”) — dwutomowa powieść Włodzimierza Juriejańskiego pt. „Rzeka ujarzmiona” — przekład M. J. Majewskiej. Tematem tej powieści historycznej są dzieje budowy „największej w Europie elektrowni wodnej na potężnym głębokim Dnieprze”, jednego z pierwszych dzieł zwycięskiego socjalizmu.

Ten fascynujący obraz Dnieprostroju, rzucany na bogate tło historyczne, przedstawia walkę bolszewików nie tylko o wyższy poziom techniki lecz ukazuje także proces przeobrażenia się psychiki człowieka, który z biernego pionka na szachownicy polityki carskiej Rosji staje się świadomym bojownikiem swojej radzieckiej ojczyzny.

Powieść Juriejańskiego jest dla nas jakby kluczem do zrozumienia tych sił politycznych, materialnych i moralnych, które w naszych czasach wznoszą wielkie budowle komunizmu i realizują gigantyczny stalinowski plan przeobrażenia przyrody.

S.K.M.



TRÓJKA LWICH NIEMOWLĄT—APOLLO, ADAM I AZJA—WYGRZEWA SIĘ W JESIENNYM SŁOŃCU. AŻ CHCIAŁOBY SIĘ WYCIĄGNAĆ RĘKĘ I POGLASKAC



A co w ZOO?

WIELE ZMIAN: przybyła indyjska słonica, urodziły się iwiątka, zwiększyła się ilość drobniejszej zwierzyny. Jesienne chłody zupełnie nie przeszkadzają egzotycznym mieszkańcom ZOO, którzy doskonale przystosowują się do nowych warunków klimatycznych. Widok polarnego niedźwiedzia wygrzewającego się latem na słońcu, albo słonia w mroźny dzień na dworze, nie jest niczym niezwykłym, i słowa współczucia: „Jak te zwierzęta się męczą” — są zupełnie nie na miejscu.

Potrzebne są jednak słowa najostrzejszego potępienia dla wandalów, którzy nawet wobec zwierząt w ZOO nie potrafili pohamować swych huligańskich zapędów. Banda łobuzów zabiła niedawno kamieniami nutrię i fokę — dar polskich marynarzy, ulubieniec wszystkich zwiedzających. Ten karygodny wypadek wywołał wielkie oburzenie. Dowodzi to, że ogół publiczności warszawskiego ZOO ma jednak wiele sympatii dla zwierząt. Zresztą — czyż można ich nie lubić za pocieszne miny, za grymasy i psikusy jakie wyprawiają?

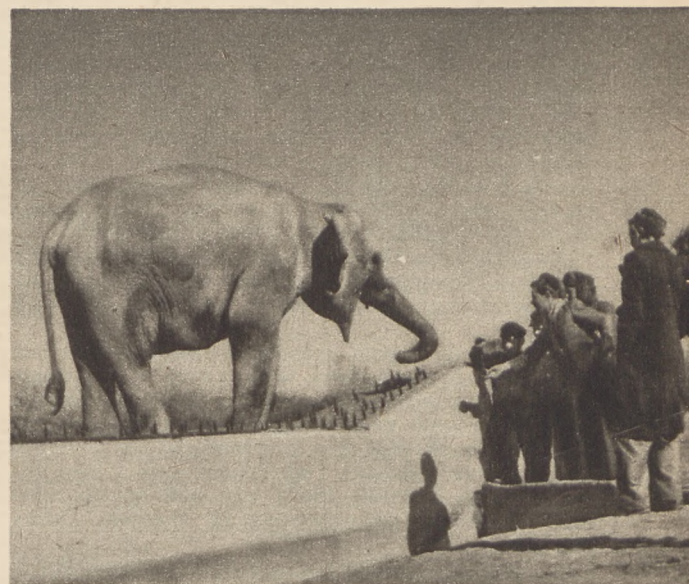
Miło jest w pogodny, niedzielny popołudnie przejść się spacerkiem po ZOO, postać przed wybiciem dla tygrysów, uśmiechnąć się na widok małych zbytków, popatrzeć na zadumane orły. Tym, którzy nie mogą widzieć warszawskiego ZOO, przedstawiamy fotoreportaż.



Przyjemnie jest bawić się z pluszowym misiem. Ale o ileż przyjemniejsze są igraszki z prawdziwym niedźwiadkiem, który nawet uprzejmie się uśmiecha.



Kozica ma minę niewyrażną: tak płasko, ani gór, ani przepaści... A na dodatek ta brązowa łania na postumencie przejmuje niezrozumiałym lękiem.



Indyjska słonica, Marysia, cieszy się dużą sympatią młodzieży. Ona tak śmiesznie je... chowa trawę marchew gdzieś pod szyję — i znów prosi o drugą.



Ujrawszy sympatycznego rezusa w objęciach dozorczy, Pachulskiego, niejedna z żon zwróciła się do małżonka z żądaniem: „Mężu, kup mi małpę!”

UCZTA BALTAZARA

POWIEŚĆ

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

Przypomniała sobie jak podczas pierwszej rozmowy powiedział, że ona jeździ w teren by do swojej marnej pensji dorobić. Oburzył ją. Ale dobrze że przynajmniej wiedział o poborach nauczycielstwa. Nie będzie wykrzykiwał ze zdumienia, jak to nieraz czynili inni adepci do stanu nauczycielskiego, z którymi przyszło Klimontównie rozmawiać o ich ewentualnej pracy. Zmęczenie ją ogarniało, kiedy po takich okrzykach musiała brać się do tłumaczeń. Bo każdy jej zdaniem powinien mieć tyle rozumu, by sam z siebie rozumieć, że odbudowa to surowa i czasem nielitościwa pani.

— Uposażenia nasze — rzekła — nie są duże.

— Nic nie szkodzi.

— No to świetnie! — poweselała.

Podawała kawę. Ułaszewicz przyglądał się jej włosom gładko zaczesanym znad wysokiego czoła, słuchał jak rozważała sprawę coraz konkretniej.

— Wszyscy w wydziale staramy się iść na rękę ludziom, którzy chcą skończyć studia — mówiła — ale z drugiej strony nie możemy do jednej szkoły kierować za dużą ilość studiujących. Kto studiuje, musi do swojej uczelni systematycznie dojeżdżać, trudno inaczej, a znowuż trudno także by w szkole nie powstawał chaos i nie przerywała się ciągłość pracy, kiedy za wielką część grona nauczycielskiego bywa raz po raz w szkole nieobecna. W pobliżu Warszawy mamy przykłady do czego prowadzi taka sytuacja. Mimo to pewna jestem, że koniec z końcem uda nam się znaleźć panu miejsce nie zanadto przeciążone nauczycielstwem kończącym studia i nie zanadto oddalone od Warszawy.

Pochylił głowę. Teraz dopiero zorientował się, czym sobie Klimontówna wytłumaczyła, że prosił dla siebie o szkołę blisko Warszawy.

— Zresztą w pana wypadku lepszy jest nawet bardziej uciążliwy dojazd, niż praca fizyczna — ciągnęła Klimontówna. — Pan nie poradziłby chyba sobie ze studiami przy podobnej pracy.

— Przy jakiej? — spytał zaskoczony.

Przypomniał sobie narzędzia, na jakie natknęła się po powrocie do domu, kiedy spał u niej. Na widok tych łopat i kilofa przyszło jej na myśl, że Ułaszewicz wziął się do pracy fizycznej. Nie mógł jej powiedzieć jak było naprawdę, nie spróbował więc rozwiązać nieporozumienia.

— Może pana uraziło, że wątpię — rzekła. — Może by pan dał sobie radę. Z wielkim wysiłkiem jednak. Nie jest pan do pracy fizycznej wdrożony, zahartowany od młodości. Po co więc ryzykować ostateczne rezultaty, kiedy bez wątpienia pewniejsze wyniki w nauce osiągnie pan pracując w szkole. A o te rezultaty przede wszystkim chodzi. Ma pan za sobą kawał studiów, nie wolno czegoś takiego marnować. Musimy mieć mnóstwo inżynierów.

Nie czuł się na siłach przerwać jej, choć wiedział że powinien. Nie potrafił się zdobyć na uśmiech. Słuchał więc tego co mówiła z martwym wyrazem twarzy.

— Dużo mi o panu opowiadały pana krewne. — Jasne oczy Klimontówny wpatrywały się w Ułaszewicza z uwagą. — Po latach przerwy ciężko jest znowu zaczynać naukę, zdaje się człowiekowi, że mózg mu zardzewiał, ale to przechodzi. Po pewnym czasie znowu wszystko będzie panu szło z taką łatwością, jak dawniej, kiedy pan pod koniec roku zdawał egzamin po egzaminie na celująco. Zobaczy pan!

— Może — szepnął wymijająco Ułaszewicz.

Po chwili przerwy podjęła porzucony temat, lecz teraz w sposób bardziej osobisty.

— Dla mnie nauka, uczenie się, uczenie innych, jest czymś, co mnie szczególnie przejmuje — głos jej zabarwiło wzruszenie. — Mój ojciec był konduktorem tramwajowym, nas było pięcioro, wszystkich pchał do nauki. Ile razy któreś wracało z dobrą cenzurą nie odzywał się wiele, tylko przez cały wieczór mrużył wesoło to jedno, to drugie oko i raz po raz uśmiechał się leciutko i powściągliwie. Takim go zawsze pamiętam.

— Pani ojciec dawno umarł? — spytał Ułaszewicz.

— Został rozstrzelany.

— Przez Niemców?

— W 44 roku. Wzięty z mieszkania przy ulicy Grottgera z całą grupą. Żaden nie ocalał.

Wyliczyła kilka nazwisk. Wszystkie obce Ułaszewiczowi. Jedno tylko zadzwieczało tak jak gdyby już raz je słyszał. Po kilku sekundach uprzytomnił sobie dlaczego.

— Ach to taki, którego nazwiskiem nazwano tę uliczkę za placem Bankowym. Jakże się ona dawniej nazywała?

Nie powiadomiła go jak, powiadomiła go natomiast:

— Właśnie z takim mój ojciec zginął.

Nie chciała Ułaszewicza teraz o niczym pouczać, przy odpowiedzi udzielonej mu odruchowo głos jej tylko na moment stał się twardszy, zaraz się opanowała.

— Mój ojciec nie doczekał! Oni nie doczekali! Nie dane im! — rzekła. — Trudno mi się z tym pogodzić!

Andrzej machinalnie przeniósł wzrok na fotografię pod oknem.

— Czy to brat pani? — szepnął.

— Nie.

— Ktoś nieżyjący?

Przytwardziła zamknawszy na sekundę oczy i pochyliwszy głowę. Bunt jej przeciw faktowi, że istnieli tacy, którym nie dano doczekać, ogarniał również postać z fotografii. To było dla Ułaszewicza jasne.

— Ktoś bliski?

— Narzeczony.

Ile razy rozmowa schodziła na tę śmierć, zawsze musiało to dłuższą chwilę potrwać, zanim się umiała uspokoić.

— Przez całą okupację partyzant, — powiedziała — potem regularny żołnierz, który bił się przez tysiące kilometrów od Chełma do Berlina, a kiedy wojna się skończyła, zginął od kuli swoich!

Wstała, poprawiła płomień gazowej kuchenki, odwrócona plecami od Andrzeja, przez moment krzątała się, wreszcie wróciła do filiżanki i napełniła ją kawą.

Joanna powróciła w przeddzień jego wyjazdu. Ułaszewicz wczesnym rankiem opuszczał Warszawę. Wysłał telegram do Jeżowej Woli, powiadomił Wydział, zapakował rzeczy. Jeszcze raz zadzwonił do Hotelu Sejmowego i na koniec dodzwonił się do Joanny, która właśnie przyjechała z Krakowa. Opowiedział jej o przykrym incydencie z Wandą, o tym, że zaniósł pani Ułaszewiczowej otrzymaną paczkę, zawierającą kostium, w którym przed laty Joanna występowała w roli swojej patronki. Wanda ten kostium znalazła u matki. Chciała go wyrzucić na śmiecie. Ostatecznie przyszła z nim do Klimontówny, u której zastała Andrzeja. W gniewie wypomniała mu, że wchodził z Joanną w podobne konszachty.

Joanna wysłuchiwała jego relacji ze smutkiem. Nic już w tej sprawie nie mogli poradzić. Umówili się, że spędzą wieczór razem. Haza przyłączył się do ich towarzystwa. Poszli najpierw do restauracji, potem do nocnego lokalu, na koniec do mieszkania Hazy, na kawę. Ułaszewicz słowem nie wspominał o Stępczyńskiej. Na jakiegokolwiek bądź projekty było za późno.

O szóstej z rana udali się na dworzec. Pociąg odchodził o siódmej. Joanna z Hazą chcieli do ostatniej chwili dotrzymać Ułaszewiczowi towarzystwa. Przynajmniej w ten sposób tłumaczyli Ułaszewiczowi swoją serdeczność.

Przybywały ranne pociągi. Andrzej, Joanna i Haza szli pod prąd śpieszących się ludzi. W hali dworcowej szumiało jak w ulu.

— A ty co tu robisz?

Ułaszewicz odwrócił się, walizki wysunęły mu się z rąk: Joanna witała się ze Stępczyńską.

— Pan Haza — przedstawiła go pierwszego, bo znajdował się bliżej Stępczyńskiej. — Oto mój kochany Andrzej, o którym ci tyle mówiłam.

Miała dłoń wąską i miękką, sposób podawania ręki energiczny. Była inna, niż na scenie: wiele piękniejsza. Jej uśmiech w życiu zyskiwał całe niebo na naturalności. Patrząc na nią tak z bliska mógł pomyśleć, że widzi siostrę tamtej — tańczącej, siostrę po stokroć bardziej udaną.

— Co wy się na siebie tak dziwnie wygapiacie — powiedziała Joanna — Poznaliście się już?

— Nie — pokręciła głową Halina Stępczyńska.

— Nie — powtórzył za nią Ułaszewicz.

Jej lśniąca czarna główkę pokrywała mała rdzawa czapeczka. Ręce wsunęły się do kieszeni palta podbitego futrem, usta rozchyliły się lekko.

— Skąd się tu wzięłaś? Czemu nic nie mówisz? — zwróciła się do niej Joanna.

— Tak sobie.

— Jak to, tak sobie? Pytam się Halinko, skąd się tu wzięłaś, a ty milczysz. Jakiś sekret?

— Nie zrozumiałam, przepraszam, to nie dlatego. Po mamę wyszłam.

Haza znikł po bilety peronowe. Czekał aż wróci, stali przez chwilę w trójkę, rozmawiając. Mówiła głównie Joanna o tym, że Andrzej wyjeżdża i gdzie, o tym, że przez całą noc balował, o tym, że Stępczyńska uważa ją za swój ideał. Stępczyńska prawie się nie odzywała.

— Czemu z ciebie dzisiaj taki mruk. Zawsze jesteś taka wygadana.

— Tak sobie! — powtórzyła Stępczyńska.

Przeszli na peron. Okazało się, że idą na ten sam. Na razie oba tory były puste. Pociąg z matką Stępczyńskiej miał spóźnienie, pociąg Andrzeja jeszcze nie podstawiono. Przejmujący wiatr dał od pola. Żeby się zagrzać, zaczęli spacerować. Aż do końca peronu i z powrotem pod budynki stacyjne. Chodzili tak w dwie pary: Haza z Joanną, Andrzej ze Stępczyńską. Serce mu waliło. Co chwila odrywał od niej oczy, żeby się jej nie wydać natrętnym. W zmieszanie wprowadzał go fakt, że raz po raz ich spojrzenia krzyżowały się. Wszystko co sobie ułożył na wypadek spotkania z nią poplątało mu się w głowie. Czuł, jak czas upływa.

— Na tym popisie...

— Proszę o tym nie mówić! — ucięła z miejsca. — Zachowałam się jak ostatnia idiotka!

— Ależ...

— Proszę o tym nie mówić! Koniec! Koniec!

Nie było w niej śladu mizdrzenia ani kokieterii, sama gwałtowność: ręce, wsadzone w kieszeń, wyprężyły się, brodzę zadarła w górę. Pełna jakichś złych wspomnień, rozdrażniona, nie chciała na temat popisu u Tarnówny ani słowa. — Wyrzuca sobie ten uśmiech — pomyślał Andrzej.

— Już byłem zupełnie pewien, że pani nie poznam!

— Ja również — przyznała się.

— A miałem taką szaloną ochotę!

Nic na to nie odparła, ale pozwoliła sobie opowiedzieć, jak latał do kawiarni, jak jej wszędzie szukał i jak myślał zostawić dla niej liścik u szatniarza czy u Tarnówny. Zaledwie jednak napomknął o popisie, znowu go osadziła, tym razem gniewna na niego, nie na siebie.

— Powiedziałam chyba dosyć wyraźnie, żeby pan o tym nie wspominał. Pro-



szę więc ze mną tego tematu nie poruszać, bo nie będę z panem rozmawiać. I to nigdy!

— Ale w ogóle, to kiedy?

Pociąg w kierunku na Poznań powoli wtaczał się na peron. Masa ludzka rzuciła się zajmować miejsca z Haza na czele, zawsze uczynnym, kiedy mógł się pochwalić swoją siłą. Joanna kiwała na Uriaszewicza, żeby wrócił po walizki. Uriaszewicz ze Stępczyńską w tym momencie stali właśnie przy ścianie jednego z budynków stacyjnych, niedawno czysto wybielonych wapnem, a już brudnych, zachlapanych błotem, zasmarowanych imionami, nazwiskami, różnymi plakatami. W swej irytacji i strasznym żalu że musi pędzić by przepychać się z walizkami, bo inaczej się nie dostanie, zamiast w spokoju rozmawiać sobie ze Stępczyńską aż do ostatniej chwili, uczył się tej ściany:

— Jaki to brak kultury u nas we wszystkim! — poskarżył się Stępczyńskiej. — Ot proszę, takie napisy! A ona tymczasem, kiedy ujrzała, że moment rozstania się zbliża, otworzyła torebkę i pomalowała usta. Usłyszawszy zaś, co Uriaszewicz powiedział, uśmiechnęła się i raptem odjąwszy od ust ołówkę, wykaligrafowała karminowymi literami na ścianie: „proszę o list“.

— Dziękuję — szepnął żarliwie.

Schwycił ją za rękę. Wyrwała mu je, wołając:

— Pociąg panu ucieknie. Biegnijmy!

ROZDZIAŁ XVI.

„Kochana Panno Halino! — Uriaszewicz zaczął swój list po tygodniu w Jeżowej Woli. — Piszę więc! Dopiero dzisiaj, chociaż chciałem od razu. Myślę o Pani i o naszym spotkaniu z wyrażnej woli Josu, i o Pani miłej zachęcie, żebym napisał. Wpadłem jednak natychmiast w wir zajęć. Musiałem się trochę urządzić i trochę rozejrzeć w świecie, do którego zjechałem, zupełnie mi obcym. W tym stanie trudno było się zebrać na list. Proszę to zrozumieć. Po tej prośbie następuje druga i to w sprawie, na której mi bardzo zależy. Proszę miawowicie nie zdradzać nikomu, skąd się do Pani odzywam. Bo odzywam się do Pani nie z żadnego nadleśnictwa w województwie poznańskim, ale z gimnazjum rolniczego w Jeżowej Woli, z pięknego dworu, otoczonego kilkunastohektarowym parkiem, i to wszystko o siedemdziesiąt kilometrów od Warszawy.

„Będę tu pracował jako nauczyciel. Nie wie o tym nikt z mojej rodziny. Joanna też. Kiedy na dworcu informowała Panią, dokąd jadę i po co, nie mogłem, ani zresztą nie miałem dosyć czasu, żeby sprostować. Sprawa mego pobytu tutaj nie jest normalna. Ustnie, za najbliższą bytnością w Warszawie, bo będę od czasu do czasu wpadał do Warszawy, powiem Pani więcej. Na razie zwracam się do Pani z prośbą o całkowitą dyskrecję. Przed wszystkimi. Z Joanną włącznie.

„Nie wiem, czy osiągnę w Jeżowej Woli na dłużej. Mam tu uczyć, czego nigdy w życiu nie robiłem. Może się więc okazać, że się nie nadaję do tego zajęcia, sam zresztą nie mam całkowitej pewności czy potrafię się przystosować do tutejszego życia. Jeśli się więc miało okazać, że nie podobam, czy że sam z siebie zdecydowałem się tę szkołę rzucić, wolałbym, żeby jak najmniej osób wiedziało o mojej nieudanej próbie. Ot, w ten sposób mniej więcej proszę sobie wytłumaczyć, dlaczego tak nalegam na sekret.

„I jeszcze jedno! Skoro już Pani wie, skąd piszę, tym łatwiej Pani zrozumie i z tym większą pobłażliwością, mam nadzieję, odnieś się do papieru, na którym piszę. Wyjeżdżając nie zaopatrzyłem się weń, ponieważ nie myślałem z nikim korespondować. Tu zaś, w miejscowej spółdzielni, ani w szkolnym sklepie, nie ma papieru listowego. Są tylko zeszyty. W wyniku tych wszystkich przyczyn stosuję do Pani niniejszy list, na pokratkowanych kartkach, pochodzących właśnie z takiego szkolnego zeszytu. Rozwodzę się nad tą sprawą, która wyda się Pani blaha, nie chciałbym jednak, by Pani pomyślała, że wśród tych różnych przyczyn jest i trochę lekceważenia. Ani krzty. Niech mi Pani wierzy. Jakżeż zresztą mógłbym się zabierać z lekceważeniem do czegoś, co w swojej konsekwencji może wywołać rzecz, jakiej bym gorąco pragnął. Może wywołać, powinna i musi. Myślę o słówku od Pani. Proszę o nie koniecznie. Sprawi mi ogromną radość“.

Uriaszewicz odłożył na bok gotową kartkę. Sięgnął po nożyk, odciął drugą i pochylił się nad nią.

„Wrażen nowych mnóstwo — pisał dalej. — Od razu w wagonie, zaledwie pojeżdżawszy się z wami, z kilku rozmów, jednocześnie toczonych w przedziale ciasno nabitym ludźmi, przykuła moją uwagę jedna. Dotyczyła szkoły tego samego typu, co moja. Udało mi się przesiąść bliżej tak, żeby móc się wnieść do rozmowy. Słuchałem więcej, niż mówiłem. Przeszła mi tak cała droga. Na stacji Mostnik czekała na mnie furka. Dyrektora chwilowo nie było. Jeden z uczniów zaprowadził mnie do kancelarii. Zaczęło się czekanie. A tymczasem w pokoju przeznaczonym dla mnie, obok kancelarii, ustawiono dopiero co przyniesione łóżko, które szkoła zdołała dla mnie skądś wytrzasnąć. Mebli wszędzie tu mało. Przed wojną było ich niewiele, ponieważ właściciele Jeżowej Woli, którzy mieli rezydencję w innym majątku, pozabierali lepsze sztuki. Wojna uporała się z resztą. Na nowe wciąż brak kredytów. Po obiedzie, który zjadłem u dyrektora, mającego osobne mieszkanie z własną kuchnią, przerobione z dwóch wielkich pokoi w tym samym skrzydle w którym mieści się kancelaria — obchodziłem klasy i sypialnie chłopców i dziewcząt. Wszędzie czegoś brak, oprócz ławek, które ostatnio sama wieś dostarczyła w dostatecznej ilości. Ale tapczanów! Ale szaf! W porównaniu z zeszłym rokiem szkoła ma dwa razy tylu uczniów, od półroczu jeszcze ich przybyło, mebli też, jednak nie w takim tempie.

„Dyrektor mój, który tu jest od początku, bo od 45 roku, opowiadał mi, jak zaczynał. Bez okien, bez drzwi, z dziurami w dachu. Spał nie we dworze, lecz w domu administratora, a we dworze, w zabudowaniach gospodarczych w ogrodzie, nocami hulał, kto chciał. I jak chciał. To jest nie bardzo, bo z przeszko-dami właśnie ze strony dyrektora i paru ludzi ze wsi, którzy wartowali na zmianę, zwolując się i próbując to i owo ratować. Na przykład drzewa w parku. Ze strony dyrektora i ludzi z nim związanych była tylko perswazja, ze strony tych, którzy przychodzili po drzewo w każdym razie siekiera, jeżeli nie nagan, czy krótko przycięty karabin. Strzelali, żeby się od nich odczepić, gdy im się zanadto naprzykrzało. Od tych strzałów padł jeden z fernali dworskich, którego syna mamy w szkole.

„Dyrektor z wszystkich przepraw wyszedł cało. Nie jest to człowiek, którego bym mógł nazwać miłym. Jest oschły i szorstki. Syn chłopca, gospodarza na paromorgowym gospodarstwie. Przed wojną pracował gdzieś na kresach, na poczcie, chociaż ma skończoną wyższą szkołę ogrodniczą. Przebywając z nim, odnoszę nieraz wrażenie, że coś do mnie czuje. Kto wie, czy nie dlatego, że nie było mnie z nim od początku? Że przyszło się tu na gotowe, kiedy wszystko zostało w końcu jako tako doprowadzone do ładu? Albo dlatego, że jest się kimś obcym tym rzeczom i sprawom, którym dyrektor Tomczyński się oddał i to nie od dzisiaj. Wycucie go nie myli. Jestem obcy. Nie w tym znaczeniu, żebym był wrogi, nawet nie w tym, żebym był obojętny, ale w tym, że jestem w stosunku do wszystkiego, o czym mówi, jak nowonarodzony. Nie sprawy szkolne mam w tej chwili na myśli, ale w ogóle jego punkt widzenia. Jego spojrzenie na świat. Cokolwiek bądź powie, to dla mnie zawsze w pierwszym momencie, jak gdyby mówił o innym świecie. Wprost o innym globie niż ten, który znam. A to ten sam.

Zresztą może mi się wydaję, że dyrektor odnosi się do mnie chłodno. Lecz ironiczny w stosunku do mnie jest na pewno, chociaż nad sobą panuje.

„Z rana lekcja. Chodzę z nim na dwie, albo i trzy — cudze. Przysłuchuję się. Dyrektor, w starannie podzielonym na rubryki katedzie, robi notatki. Potem w kancelarii wyjaśnia mi. Nauczanie nie jest rzeczą prostą. To cała sztuka umieć wytłumaczyć, ciągle utrzymywać w pogotowiu uwagę uczniów, a nie znuzić ich. Jasne! Ale jak się do tego zabrać praktycznie. Zwłaszcza, że tu są wielkie różnice poziomów. Oczywiście, jak wszędzie w tego rodzaju szkołach. Nie o tym jednak mówię. Tylko o poziomie przygotowania, o ogromnych różnicach wieku. W jednej klasie może się znaleźć chłopiec piętnastoletni, a obok niego taki, który skończył dwadzieścia pięć. Jest u nas w szkole właśnie jeden dwudziestopięciolatek. Inwalida zresztą, kulawy, z lasów, po amnestii. A jest i były milicjant. Był w „Baudinscie“ niemieckim, potem na robotach na Śląsku, potem od razu w wojsku, w milicji, na koniec trafił do szkoły. Ledwie pisze, lecz szalona pamięć. Przeczytać mu stronę, powtórzy ją bez błędów. Ujmujący, spokojny. Pochodzi z okolic Mostnika, chciałby osiąść gdzieś na wsi. Pracować w spółdzielni, w „Samopomocy“ czy „Spółem“. Też syn chłopski. Jeden z pięciu na dwu hektarach ziemi. Toteż nie myśli o własnej gospodarce. Chce być pracownikiem umysłowym na wsi, ale

pracownikiem z cenzusem. Zakuwa się wieczorami. Nie on jeden. Mamy chyba z piętnastu takich zapaleńców, jak on. Zastać ich można wieczorami w pustych klasach. Siedzą i uczą się. Odrabiają zadania, przepisują, kreślą albo przera-biają wspólnie jeden materiał i dyskutują. Podciągają się do poziomu jak mogą. Pomagają sobie zresztą nawzajem. Na zasadzie, jak powiada mój dyrektor, odpowiedzialności zbiorowej. Obowiązkiem każdego zdolniejszego jest przychodzić jednemu ze słabszych z pomocą. Tak postanowili na zebraniu organizacji partyjnej, do której należą co aktywniejsi, na zebraniu Walki Młodych. Organizacja jednak sama żadnych kar nie wyznacza. Odpowiedzialnością za poziom obarcza samorząd szkolny. Dopiero samorząd w każdej klasie wyznacza, kto komu ma pomóc. Samorząd jest organizacją wszystkich.

„Mimo uwag, które mi się nasunęły na temat stosunku dyrektora Tomczyńskiego do mojej osoby, z nim stykam się najczęściej. Jak również z jego żoną, panią Marią, która przeszła w Jeżowej Woli przez to wszystko, co on. Na żadnej jej lekcji nie byłem, bo to przedmioty praktyczne, inne więc metody, inne podejście, dla mnie — zdaniem dyrektora — bez korzyści. Jest żywą i — przy lada słowku zatrąconym o wydarzenia sprzed roku czy dwóch — ożywiającą się kroniką tych lat. Słucham jej opowiadań całymi godzinami. Oni rzeczywiście przez nieźle rzeczy przechodzili w tej pierwszej epoce. Wspominałem o napadach i kradzieżach, ale nie tylko to. Praca w szkole rwała się, nauczyciel ledwie zagrzebał miejsce, a już przerażony stosunkami zabierał się gdzie indziej uczniów było na lekarstwo. Wydział oświaty rolniczej pieniędzy nie dawał, a stawiał wymagania. Wciąż groził zamknięciem. Na jesieni, kiedy z zapisanych przybyło do szkoły dziesięciu uczniów, a reszta nie dała o sobie znaku życia przez jeden miesiąc i drugi, szkoła zawisała na włosku. Było pusto, było głodno, niepewnie, bo coraz to ktoś z młodzieży przynosiło wieść już o tym, że młynarz z drugimi takimi, jak on na spółkę lada dzień kupi dwór na rozbiórkę i park na wyrąb, już to o tym, że śmierć czeka dyrektora, ponieważ są tacy, którzy się na niego zaprzysięgli, za szkołę i nie za szkołę, głównie jednak za politykę. Do-ciągnęło się jakoś do pierwszych mrozów. Wtedy jednak zdawało się, że musi nastąpić koniec. Opał nie przybywał! Nie było opału! Po tygodniu czy dwu przestało być tajemnicą, że uczniowie chcą się rozjechać. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, a szkoła się rozleci. Nagle pewnego wieczoru wybucha pożar. Gasi go sama młodzież i — już zostaje. Mowy nie ma więcej o porzuceniu szkoły. Takich faktów pani Tomczyńska przytacza mnóstwo.



FITONCYDY, PRANIE I KISZONE JABŁKA

Co to są fitoncydy — nie wiecie? Powiem więc o nich króciutko i tylko o ich przydatności w kuchni. Fitoncydy odkrył Borys Tokin — profesor, uczony radziecki o światowej sławie. Fitoncydy są to substancje znajdujące się w każdej roślinie, a działające zabójczo na pewne bakterie, pleśnie, grzybki, a nawet na owady; np. fitoncydy czeremchy zabijają komary i mole. Wracajmy jednak do kuchni.

Fitoncydy cebuli, czosnku i chrzanu potrafią wyniszczyć doszczętnie te drobnoustroje, które powodują psucie się lub tak zwane „nie udawanie się” kiszonych. Jeśli więc kisicie kapustę, ogórki, pomidory itd. na zimę dodajcie do nich — szczególnie na wierzch — utartej, lub drobno posiekanej cebuli, czosnku, czy chrzanu. Fitoncydy działają krótko, to jest tyle ile „żyje” roślina z której pochodzą. Ale np. fitoncydy czosnku działają ponad 200 godzin.

Ten czosnek — okazuje się — to niezmiernie pożyteczna rzecz! Gdyby nie ten zapach! Czosnek żuty w ustach, a raczej jego fitoncydy, w ciągu minuty potrafią zabić wszystkie bakterie gnieźdzące się w jamie ustnej. Fitoncydy czosnku zabijają także zarazki anginy, dyfterytu, zapalenia płuc, kataru, grypy i wiele innych.

Gospodyni — która dodaje po troszku utartego czosnku do surówek, ochrania domowników przed chorobami, a równocześnie ratuje surówkę przed szybkim zepsuciem się. Fitoncydy cebuli działają podobnie jak czosnku, ale mniej energicznie. Fitoncydy chrzanu są dla nas ważne przede wszystkim latem, gdyż utarty chrzan położony obok kawałka mięsa nie dopuszcza do jego zepsucia się przez kilka dni.

Fitoncydy jednak potrafią nam robić małe figle. Strzeżcie się więc i nie składajcie cebuli — zwłaszcza, gdy jest utarta lub posiekana, — obok drożdży, bo fitoncydy cebuli zabijają drożdże. I jeszcze jedna uwaga: rośliny zdrowe, ale zmiażdżone, posiekane, lub utarte — wydzielają o wiele więcej fitoncydów.

PRANIE BEZ PRANIA

Znacie pewnie ten sposób więc go tylko pokrótce przypomnę. (Tę metodę prania opracowała Leningradzka Stacja Sanitarno - Epidemiologiczna). Brudną, suchą bieliznę wkłada się do wrzącej wody, która zawiera 10% mydła i 6,3% sody. Gotuje się 2 godziny. Na 1 kg suchej bielizny potrzeba 8 litrów wody. Po takim praniu bielizna jest w dodatku wydezynfekowana. Płukać w gorącej wodzie, zmieniając ją póki nie będzie czysta. Pyszne pranie — zapewniam!

KISZENIE JABŁEK

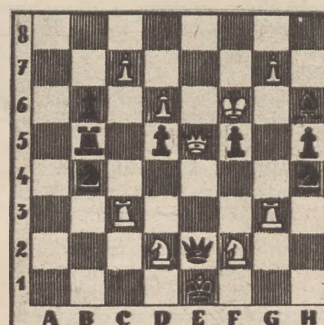
Wspaniały sposób dla tych, którzy własnych zbiorów nie mają gdzie przechować. Według Nazariana i Jegorowej, trzeba zdrowiusieńkie jabłka, wymyte, układać w beczce jak ogórki. Na dno ściółka z liści i ziół, potem kilka warstw jabłek itd. Na wierzch liście. Zalać słoną wodą. Na 10 litrów — $\frac{1}{5}$ szklanki soli = 15 dkg. Dalej postępować jak z ogórkami lub kapustą. Najpóźniej po 2 miesiącach jabłka są gotowe. Uwaga! Zawierają więcej witamin, niż surowe; no i kiszone jabłuszko — to prawdziwy smakołyk. Spróbujcie!

AGATA

SZACHY

ZADANIE NR 11

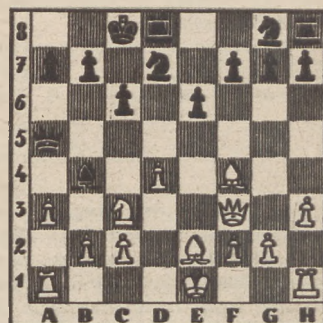
(autor — S. Lloyd)



Białe: Kf6; He5; Wc3, g3; Sd2, f2; pc7, d6, g7. Czarne: Kel; He2; Wb5; Gh6; Sb4, h4; pb6, d5, f5, h5. Mat w trzech posunięciach.

ZADANIE NR 12

Białe: Kel; Hf3; Wa1, h1; Ge2, f4; Sc3; pa3, b2, c2, d4, f2, g2, h3. Czarne: Kc8; Ha5; Wd8, h8; Gb4; Sd7, g8; pa7, b7, c6, e6, f7, g7, h7.



Pozycja ta pochodzi z partii, którą rozegrał w Simultanie białymi, peruwiański mistrz Canala. Jak powinny białe zagrać?

PARTIA NR 5

Grana w 9-tej rundzie turnieju strefowego w Mariańskich Łaźniach. Białe: Lokvenc (Austria). Czarne: Barcza (Węgry). Partia hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3 Sb8—c6 3. Gf1—b5 a7—a6 4. Gb5—a4 Sg8—f6 5. 0—0 Gf8—e7 6. Wf1—e1 b7—b5 7. Ga4—b3 d7—d6 8. c2—c3 Sc6—a5 9. Gb3—c2 c7—c5 10. h2—h3 0—0 11. d2—d4 Hd8—c7 12. Sb1—d2 c5:d4 13. c3:d4 Gc8—b7 14. Sd2—f1 Wa8—c8 15. We1—e2 Gb7—c6.

Do ostatniego posunięcia czarnych partia przebiegała ściśle według teorii. Wariant ten opracowali Panow i Bolesławski. Pointą wariantu jest ofiara piona 15... d5!, co w połączeniu z pozycją gońca na b7 i naciskiem po linii „c” daje czarnym dobrą grę. Barcza jednak lepiej się czuje w pozycjach zamkniętych, toteż chce sprowokować swego przeciwnika do ruchu 16. d5, zamykającego centrum. Lokvenc centrum nie zablokował, lecz zaczął przygotowywać typowy dla partii hiszpańskiej atak i tutaj ostatnie posunięcie czarnych okazało się nielogiczne.

16. Sf1—g3 g7—g6 17. b2—b3 Sf6—e8 18. Gc1—b2 f7—f6 19. Hd1—d2 Ge7—d8.

Czarne mają już pewne trudności. Należało pomyśleć o przeprowadzeniu Sa5 przez b7 i d8 na f7 dla obrony królewskiego skrzydła.

20. Wa1—c1 Wf8—f7 21. Gc2—d3 Hc7—b8 22. b3—b4 Sa5—b7 23. Gd3—c2! Kg8—g7 24. Gc2—b3 Wf7—e7 25. Sf3—h4 Gc6—d7 26. Wc1:c8 Hb8:c8 27. Gb2—c1.

Białe zdołały zostawić na aktywnych pozycjach wszystkie prawie swoje figury. Figury czarnych natomiast stoją fatalnie, przeszkadzając sobie wzajemnie.

27.... Gd7—e6 28. Hd2—h6+ Kg7—g8 29. Sh4:g6! h7:g6 30. Hh6:g6+ Se8—g7 31. We2—c2 Hc8—d7.

Po 31... Wc7 mogło nastąpić 32. Gh6! 32. Sg3—f5 Ge6:b3 33. a2:b3 Kg8—h8 34. Sf5:e7 Hd7:e7 35. d4—d5.

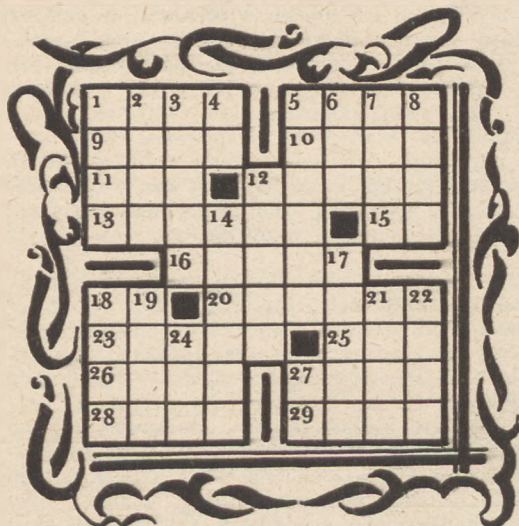
Białe prowadzą atak bardzo pewnie i z zimną krwią. Po zablokowaniu centrum grozić będzie zarówno wtargnięcie wieży na c8, jak i przerzucenie jej przez c3 na pole g3.

35. ...a6—a5 36. b4:a5 Sb7:a5 37. Wc2—c3 Kh8—g8 38. Gc1—h6 He7—f7 39. Hg6—g4 Kg8—h7 40. Gh6:g7 f6—f5.

Po 40. ...H:g7 wygrywało 41. Hh5+ Hh6 42. Hf5+ Kh8 43. Hd7 itd.

41. e4:f5 Hf7:g7 42. Hg4—h5+ Hg7—h6 43. Hh5—e8 Gd8—b6 44. He8—e7+ i czarne podały się, gdyż na 44. ...Hg7 nastąpiłoby 45.f6! Mocno przez mistrza Lokverca przeprowadzony atak!

ROZRYWKI UMYŚLOWE



KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1) Tylne części okrętu 5) Rodzaj konnej gry sportowej 9) Wyszczególnienie cech charakterystycznych osoby lub przedmiotu za pomocą mowy albo pisma 10) Legendarny król Brytanii, bohater dramatu Szekspira 11) Jedna z podstawowych przypraw kuchennych 12) Młodociany, przejściowy stan w rozwoju wielu zwierząt 13) Autor powieści: „Piękne Dzielnice” i „Dzwony Bazylei” 15) Inicjały poety polskiego (1733 — 1796) 16) Tytuł powieści P. Gojawczyńskiej 18) Symbol chemiczny srebra 20) Wyjątek, fragment 23) Tytuł powieści W. Wasilewskiej 25) Imię cygańskie 26) Inaczej „obydwaj” 27) W podaniach: duch zamieszkujący

wnętrze ziemi i strzegący ukrytych skarbów 28) Duży pokój 29) Zażłakowana choroba wysypkowa.

Pionowo: 1) Opar wodny w postaci drobnych kropelek 2) Upieranie się, krnąbrność 3) Jeden z najwybitniejszych górników polskich 4) Wybitna jednostka, tuz 5) Nasypy pod kolej żelazną 6) Pień duński 7) Płynna masa wulkaniczna 8) Jedno z większych portowych miast w Afryce półn. 12) Rzeka we Francji, wpadająca do Oceanu Atlantyckiego 14) Jedna z republik radzieckich 17) Przesunięcie na wyższe stanowisko 18) Jeden z „Trzech muszkieterów” 19) W mowie potocznej: jama ustna 21) Słynny bajkopisarz grecki z VI w. przed Chr. 22) Największy lewy dopływ Wołgi 24) Miara długości 27) Gra japońska.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie drogą losowania

10 nagród książkowych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR. 8

PODWÓJNA WIRÓWKA: Prakseda, Weronika, Stargard. Nowy Sącz, gruźlica, skleroza, jęczmień, pszenica, Meissner, Rudnicki, talerzyk, stolnica, jastrząb, jaskółka, miednica, obójczyk.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 8 nagrody książkowe otrzymują:

1) Wanda Strus — Kopenhaga, Hans Jensens vej 28 (Polish Legation), 2) Henryk Ciemny — Siedlików, p-ta Ostrzeszów, pow. Kępno, 3) Władysław Domański — Strzegom, ul. Rzeźnicka 10, 4) Jan Kolanowski — Gniezno, ul. Stalina 11, 5) Stefan Lenkiewicz — Strzyżów n/Wisłokiem, pow. Rzeszów, 6) Zdzisław Lewiński — Kielce, ul. Dzierżyńskiego 50, 7) Eugeniusz Lawryniuk — Piastów k/W-wy, ul. Prądzińskiego 8 m. 3, 8) Kazimierz Maciołek — Poznań, ul. Kościuski 106 m. 13, 9) Zdzisław Nogacki — Radzionków, ul. Męcz. Oświęcimia 52, pow. Tarn. Góry, 10) Czesław Nowak — Warszawa 4, Targowa 59 m. 16.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

SWIAT o tym wie!

UWAGA! ŚCIŚLE Tajne!

W NUMERZE 17 amerykańskiego tygodnika „Newsweek” z dnia 22 października czytamy:

VOL. XXXVIII NO. 17

OCTOBER 22, 1951

Newsweek

Registered U. S. Patent Office

THE U. S. MAGAZINE OF NEWS SIGNIFICANCE

Notes Around the World

Don't be surprised if President Beshara El-Khoury of Lebanon is the next important assassination victim in the Middle East.

„Nie zdziwcie się, jeżeli następną ofiarą zamachu morderczego na Środkowym Wschodzie będzie prezydent Libanu Beshara El-Khoury.”

Nie zdziwimy się. Prasa amerykańska słynie z tego, że jest dobrze poinformowana. Zwłaszcza w takich sprawach.

Nie dziwimy się też ostatnim skargom prezydenta Trumana, który oświadczył, że prasa amerykańska ujawnia wiele tajemnic państwowych, o czym donosił „New York Times” pod poniższym nagłówkiem:

PRESIDENT ACCUSES PRESS OF REVEALING VITAL WAR SECRETS

Informacja „Newsweek” o zamachu na libańskiego dostojnika stanowczo należy do kategorii przedwcześnie ujawnionych tajemnic amerykańskich. Kto wam potem uwierzy, że „sprawcy są nieznanymi”?

PO ŁAPACH

DOTYCHCZAS wiadomo było, że pan senator McCarthy z Waszyngtonu ma wyjątkowo długi ózór. Mełł nim bez przerwy, obrzucając tysiące ludzi w USA oszczerstwami, pomawiając ich o najprzeróżniejsze zbrodnie, zdradę stanu, szpiegostwo, działalność „wywrotową”, słowem dostarczał plugawego żeru osławionej Komisji Badania Działalności Antyamerykańskiej. Okazało się jednak, że pan senator McCarthy ma nie tylko długi ózór, ale i długie łapy. Tak długie, że sięgają aż na drugi brzeg Atlantyku. W danym wypadku do Szwajcarii.



Sen. Joe McCarthy
Długi ózór i długie łapy.

Oto przed kilku miesiącami grono obywateli szwajcarskich zameldowało władzom, że ktoś w sposób wysoce niedyskretny przejmując i przetrząsając ich prywatną korespondencję. Równocześnie kilku obywateli amerykańskich przebywających w Szwajcarii (m. in. były poseł amerykański i Szwajcarii Mr. John Carter Vincent) stwierdziło, że ktoś ich śledzi i to w sposób dość natrętny.

Władze szwajcarskie długo ociągały się ze zrobieniem użytku z tych doniesień, ale w końcu, wobec mnożących się skarg, wszczęły śledztwo. Zaprowadziło je ono na ślad obywatela amerykańskiego Charlesa Davisa. Davis, badany przez szwajcarską

policję zeznał, że od szeregu miesięcy uprawia szpiegowski proceder z ramienia amerykańskiej policji politycznej — FBI, tudzież gromadzi materiały dla senatora McCarthy.

Davis śledził wielu obywateli szwajcarskich, znanych ze swych postępowych przekonań, tudzież donosił swym waszyngtońskim mocodawcom o działalności obywateli amerykańskich w Lozannie i Genewie. I to zarówno osób prywatnych, jak i urzędników amerykańskich placówek konsularnych. Donosy Davisa stały się podstawą do oszczerczych wystąpień McCarthy'ego i do prześladowania ludzi przez FBI. Davis wykradał m. in. listy śledzonych osób i dołączał je do swych szpiclowskich raportów. Próbował nawet w tym celu przekupić urzędników poczty szwajcarskiej. Kiedy wreszcie poczuł, że grunt zaczyna palić mu się pod stopami, wszczął starania o wizę francuską. W tym momencie aresztowała go policja szwajcarska.

I znowu władze szwajcarskie próbowały całą sprawę zatuszować, zwlekając przez wiele miesięcy z wytoczeniem Davisowi sprawy sądowej. Dopiero nacisk wybitnych prawników szwajcarskich zmusił władze do nadania sprawie biegu.

Wkrótce więc odbędzie się w Lozannie proces, który rzuci ciekawe światło na lajdackie praktyki amerykańskiej policji politycznej i amerykańskich „mężów stanu” w rodzaju senatora McCarthy. Tymczasem władze amerykańskie zaprzeczają wszystkiemu. A sen. McCarthy wypiera się wszelkiego związku ze swym szpiclem.

LIS I PRZECHERY

DLA LUDZI przywykłych do traktowania hitlerowców jako łotrów i zbrodniarzy — pisze prasa amerykańska — film ten będzie „prawdziwą niespodzianką. Rommel występuje tu jako wspaniałomyślny przeciwnik i wierny przyjaciel”.



James Mason jako Rommel.
Bez poczucia godności narodowej.

Mowa o nowym filmie amerykańskim, produkcji „20th Century-Fox”, p.t. „The Desert Fox” — (Lis pustyni) z aktorem angielskim Jamesem Masonem w roli tytułowej.

Lis pustyni — to oczywiście feldmarszałek Rommel, który doczekał się w filmie amerykańskim wspaniałej gloryfikacji. Ponury żołdak hitlerowski obdarzony został przez scenarzystę i reżysera wszystkimi bohaterskimi cnotami. Jego przeciwnicy — żołnierze brytyjscy, zostali potraktowani w taki sposób, że kiedy fragmenty tego filmu nadano w programie telewizyjnym BBC — związek b. kombatanów VIII armii brytyjskiej założył ostry protest.

Amerykańskie przechery polityczne, gorączkowo uzbrajające nowy „Wehrmacht”, chcą się jak najszybciej wkupić w łaski hitlerowców. Stąd ten zapal do wystawiania w filmie amerykańskim takich postaci, jak von Papen czy Rommel. Bez krzty poczucia godności narodowej hańbi się pamięć własnych żołnierzy i sojuszników, byle zjednać sobie sympatie łotrów spod znaku swastyki.

Z CHŁOPAMI POLSKIMI U KOŁCHOŻNIKÓW RADZIECKICH

Dokończenie ze str. 7

wspólnej gospodarce. Bez tego nic. Żeby mieć we wsi wysokie urodzaje my musimy wprowadzić odpowiedni płodozmian i selekcję, a to możliwe tylko na zespolonych gruntach. Praca ma być planowa, a nie każdy sobie. To możliwe tylko w zespole. Ludzi maszyny owszem zastępują, szczególnie w ciężkiej robocie, tylko, że maszyna nie będzie zastępować każdego pojedynczego człowieka koło jego chałupy na morderze, czy nawet dziesięciu, bo to się wcale nie opłaca!

Maszyna jest w możności ludzi wyręczyć, jak swoje poszczególne morgi połączą razem i nie ma przeszkód do takiej uprawy, jaka ma być, żeby jak to się śpiewa: „na dołeczku nie wymokło, bo się kiepsko zawlokło, na górce nie wywiało, bo się kiepsko zasialo”. A wymokło, a wywiało, a wymarzło tylko przez złe gospodarowanie. Chłop w ziemi się babrze jak pradziadek i dziadek przykazywał, a nowych metod się boi. Jeszcze chcę nadmienić, co do tego największego zmartwienia niektórych, że maszyny nie dają nawozu. Nieprawda! Żadne takie zmartwienie nie ma miejsca. Jak się gospodarzy zespolowo, można hodowlę tak postawić, że nawozu będzie dość na wszystkie pola. Ja przykładów zauważyłem w kołchozach, ile kto chce”.

IGNACY MAREK dodaje: koń, to zjadacz chłopca. Co on nie zniszczy! W kołchozie koń chłopca nie zjada. Mają ziemi i trzy tysiące hektarów, a koni trzymają tyle, ile im potrzeba do drobniejszych robót, do furmanek, do ogrodu. Ciężkie roboty są dla maszyny. Te wszystkie maszyny! Człowiek by w nie nie uwierzył, gdyby sam nie zobaczył.

Kombajn do buraków tak sobie opisałem, jak bym narysował.

Pewno, że na prywatne gospodarstwo taka maszyna nie jest. Człowiek się musi męczyć sam, a jak, to każdy wie, kto przy burakach robił. Ale na dużym polu, właśnie w spółdzielni taki kombajn to cacko i cud. Wybawia od najgorszej roboty. Myśmy w kołchozach patrzyli nie tylko na maszyny. Myśmy w każdy kąt zaglądali, jak ludzie żyją. Przypominam sobie na przykład jednego starszego chłopca. Nawet już nie pracował, kołchoz go utrzymywał. Obeszliśmy całą jego działkę przyzagrodową. Hodował własne winogrona, miał swoją pasiekę, swoje gęsi, swoją krowę.

Spodobało mi się”.

Dziś we Władysławowie zbiera już plony spółdzielni produkcyjna. Pierwszym jej założycielem był Jakub Olszowy.

Dotrzymał swego postanowienia.

* * *

Wyjechało ich wszystkich razem z Polski 230. Podzieleni na grupy zjeżdżali Ukrainę wzdłuż i wszerz. Poznali wiele obwodów, zwiedzili dużo rejonów, dotarli do kołchozów, o których na wsi pierwiej nigdy nie słyszeli.

Zjechali się znowu po tygodniach ze sobą w Moskwie, niby ci sami, a jednak trochę inni. Trochę przemienieni. Ci, słowo cedzący za słowem, nagle się rozgadali. Ci sypiący zdania, nim sobie jeszcze je w głowie ułożą, przycichli, namyślali się.

Każdy przywiózł ze sobą nowe spostrzeżenia, wrażenia niezapomniane nigdy i oszałamiające opinie. Jedni nie potrafili jeszcze tego wszystkiego sobie uporządkować. Opowiadali jeden przez drugiego, byle jak, zadyszani, chaotycznie, z wypiekami na policzkach. Inni, doświadczenia opracowywali w programy na przyszłość.

Wrócili trochę inni. Pewniejsi swego, „wzmocnieni”, jak to określili Kazimierz Michalski. Jak to również powiedziała ta Natalia Parasiuk bezpartyjna, chłopka z Lubelskiego:

— Niech mi kula opowiada co chce, ja wiem swoje, ja widziałam!

Ludzie wsi radzieckiej, wszyscy od przewodniczących do prostych pracowników, z całych sił, poważnie starali się ich wprowadzić w interesujące ich kwestie.

Ukazali chłopom polskim ich dobrą przyszłość. Nauczyli ich pogłębiać patriotyzm. Pokazali jak należy walczyć o pokój.

Ten chleb doświadczeń, ta sól mądrości, pozwolą setkom tysięcy polskich chłopów zbudować na swoich wsiach socjalizm.

MARIA JAROCHOWSKA



Z CIEMNOŚCI TUNELU TRASY W—Z WYCHODZI NA JESIENNE SŁOŃCE ZGRANA DRUŻYNA 122.

PÓŁ MILIONA MASZERUJE

500 000 osób uczestniczyło już w pierwszym dniu Marszów Jesiennych. Pół miliona młodych i starszych, chłopców i dziewcząt, sportowców i „cywilów”, maszerowało przez nasze miasta i wsie. Granatowe mundury „lotowców” przeplatały się z zielonymi bluzami junaków SP. Różnobarwności sportowych „dresów” nie przytłumiły szkolne kurtki, ani brązowe garnitury „w jodelkę” (bo i takie się zdarzały...) A w następną niedzielę — tę ubiegłą — drugie pół miliona wyszło na trasę.

Nie ma bowiem innej tak masowej imprezy, jak Biegi Narodowe i Marsze Jesienne. Po krótkim przygotowaniu może wziąć w nich udział każdy, bez względu na wiek i płeć.

— Do góry dziadków! — wołano na mecie, gdy marsz ukończyli: 64-letni Cierlica, pracownik fabryki czekolady im. 22 lipca i 53-letni Kosiński, pracownik Centr. Zarządu Przem. Owocowo - Warzywniczego. Kosiński — mimo swego wieku — zdobył ostatnio odznakę SPO.

Okrzykiem: „Brawo najmłodszy” przywitano finiszujących ostro czternastolatków z Żoliborza — Rabcewicz i Holaka — którzy od Marszów Jesiennych zaczynają swą karierę sportową.

Najmłodszy i najstarszy spotkali się w marszach, i okazało się, że — mimo różnicy wieku — potrafią świetnie iść „noga w nogę”. J. KASP. (Foto CAF).



Na mecie — kubek gorącej kawy, a potem do domu. Dla sportowców Unii marsze skończone.



SPIESZENI LOTNICY FINISZUJĄ. DRUŻYNA POLSKICH LINII LOTNICZYCH LOT NA TRASIE.



„HARNASIE”

ABENDROTH I INNE WSPANIAŁOŚCI

CHCAC przedstawić zamierzenia repertuarowe naszych Oper i Filharmonii na sezon bieżący, trzeba zdecydować się: albo zająć pod muzykę pół numeru pisma, albo pisać skrótem telegraficznym. Ponieważ pierwsze wyjście spotkałoby się ze sprzeciwem innych piszących, przeto decyduję się na drugie, ufając, że dla miłośników muzyki telegram ten będzie mimo wszystko ciekawą lekturą. Tak więc zaczynam:

WARSZAWA. Opera stołeczna przygotowuje „Traviatę” Verdiego. Dyrekcja muzyczna — Górzyński, scenografia — Zamiecznik, reżyseria — Sawan. Jeszcze w tym roku, na zakończenie Festiwalu Muzyki Polskiej, pójdzie balet „Harnasie” Szymanowskiego. Dyrekcja — Mierzejewski, choreografia — Miszczyk, scenografia — Stopka. W rolach głównych: Bittnerówna i Killński.

POZNAŃ przygotowuje naszą udaną nową operę „Bunt zaków” Szelińskiego (muzyka) i Brandstaettera (libretto). Dyrekcja — Lewandowski, scenografia — Jarocki. Potem pójdzie wieczór baletowy: „Coppelia” Delibes’a i „Uczeń czarnoksiężnika” Dukas’a. Choreografia Wójcikowskiego. — Trzecią z kolei premierą będzie „Otello” Verdiego. Dyrekcja — Wojciechowski, nowy przekład libretta i reżyseria — Bardini, scenografia — Strzelecki.

BYTOM da „Rusalkę” Dargomyżskiego i — w ramach Festiwalu — „Jana Kilińskiego”, operę zachowaną w rękopisie po zmarłym przed wojną naszym kompozytorze Joteyce.

WROCŁAW wykańcza już wspaniały balet radziecki „Czerwony mak” Gliera. Dyrekcja — K. Wilkomirski, choreografia — Patkowski, scenografia — Frycz. Następnie wystawiony będzie „Eugeniusz Oniegin” Czajkowskiego, pod kierownictwem muzycznym Kopycińskiego.

WYBRZEŻE. Studio Operowe w Gdańsku przygotowuje najpierw „Sprzedaną Narzeczoną” Smetany, w reżyserii Bręzygo, a później ciekawy wieczór baletowy, na który złoży się: „Wesele w Ojcowie” Kurpińskiego, „Piotrus i wilk” Prokofiewa, oraz fragmenty „Pór roku” Glazunowa, w opracowaniu choreograficznym Jarzynówny. Dyrekcja obu spektakli — Latoszewski, scenografia — Gajewski.

Dyrekcja Generalna TOF (Teatrów, Oper i Filharmonii) przygotowuje na ten sezon dwie ciekawe innowacje: 1) soliści operowi będą ze swoich scen wymiennie delegowani na okresy gościnnych występów do innych Oper, 2) celem zaznajomienia z kulturą operową szerszego terenu, będą wysyłane do mniejszych miast, a nawet wsi, opero-montaże (ekipy składające się ze śpiewaków, akompaniatora i konferansjera wiążącego słowem fragmenty opery w całość).

Ale dyrektor muzyczny TOF jest — mimo tych ładnych planów — zdenerwowany. Czynnym innym. Oto przejął na swe barki w ostatnich dniach jeszcze i sprawę... operetki. Może nareszcie będziemy mieli więcej teatrów operetkowych! Chwilowo TOF zajmie się już istniejącymi w Łodzi i Lublinie, oraz zamieni na stałą Operetkę Teatr Nowy w Warszawie. Najciekawiej zapowiada się w Łodzi „Orfeusz w piekle” Offenbacha, w reżyserii i inscenizacji Merunowicza, z nowym librettem Gałczyńskiego. A nowe, dobre libretta, to jest właśnie to, czego najbardziej trzeba operetkom.

FILHARMONIE nasze rozpoczną pracę w bieżącym sezonie, w trzech zasadniczych pionach: Festiwal Muzyki Polskiej, Miesiąc Pogrzebienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, Rocznic.

Do połowy grudnia, t.j. do zamknięcia III i ostatniego etapu Festiwalu, Filharmonie dadzą jeszcze ponad 60 koncertów muzyki polskiej. Oto kilka najważniejszych pozycji: Szymanowskiego symfonie — II (Filharmonia Bałtycka), III (Kraków), IV (Katowice), niedawno odnaleziona symfonia Karłowicza „Odrodzenie” (Łódź), II symfonia Bacewiczówny (Poznań), pierwszy w naszej literaturze muzycznej świecki koncert na organy i orkiestrę, dzieło młodego kompozytora Machla (Kraków).

40 koncertów będzie związanych z Miesiącem Pogrzebienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej. Usłyszymy m. in. Szostakowicza symfonie V (Warszawa) i IX (Katowice), Chaczaturiana „Kantata o Stalinie” (Kraków), Szaporina kantatę „Na Kulikowym Polu” (Filharmonia Bałtycka), Prokofiewa III koncert fortepianowy (Katowice).

Koncerty rocznicowe poświęcone będą Mozartowi w 160-lecie śmierci i Zelenkiemu w 30-lecie śmierci.

Wśród najbliższych gościnnych występów z zagranicy, przewidziany jest przyjazd do Polski doskonałego dyrygenta belgijskiego F. André oraz jednego z najsłynniejszych dyrygentów świata, wielkiego kapelmistrza niemieckiego — Hermanna Abendrotha, który będzie dyrygował w Warszawie trzema koncertami zawierającymi utwory symfoniczne Mozarta i Beethovena.

STOP! Telegram został nadany.

J. W.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

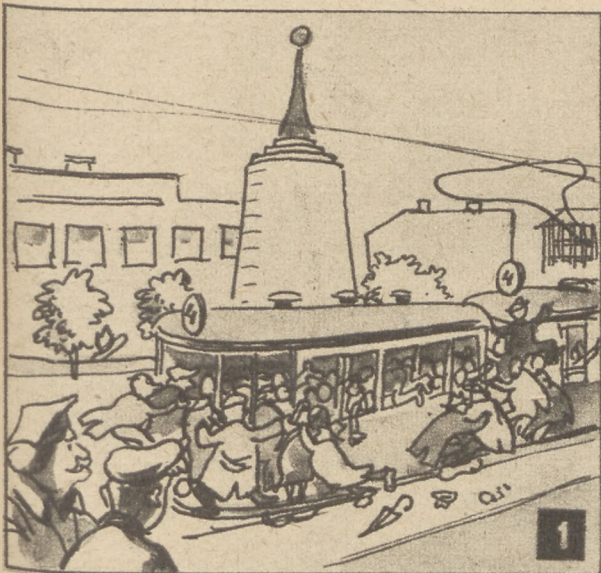
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 4-01-80. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr I-21040/110.

Zakłady Wkłóściardrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 2-B-42738

WEDRÓWKI mistrza Jana

POD OPIEKĄ CHARLIE'GO I JUANBOTA



— Jak się zowie owa pędząca machina, w której pospólstwo jako śledzie w beczce stłoczono? I z czyjej woli takowe katusze ludziom się zadaje?

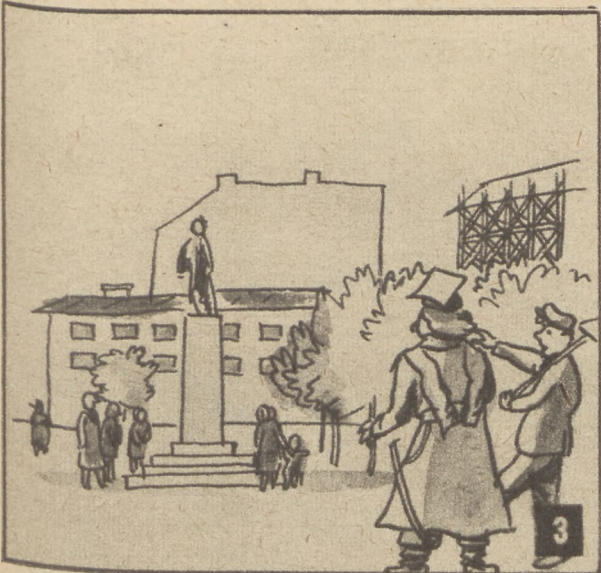
— Z Woli jeszcze nienajgorzej. Zobaczysz pułkownika w obładowej porze z Pragi i na Pragę!



— Zali mnie oczy mylą... Toż to Arsenal?

— Arsenal. Zabytkowa, można powiedzieć, pamiątka, albo — jeśli pułkownik wolisz — pamiątkowy zabytek.

— To tu! Patrz waćpan — to tu, w tym miejscu, ja szewc warszawski rozpocząłem walkę z potęgą caratu!

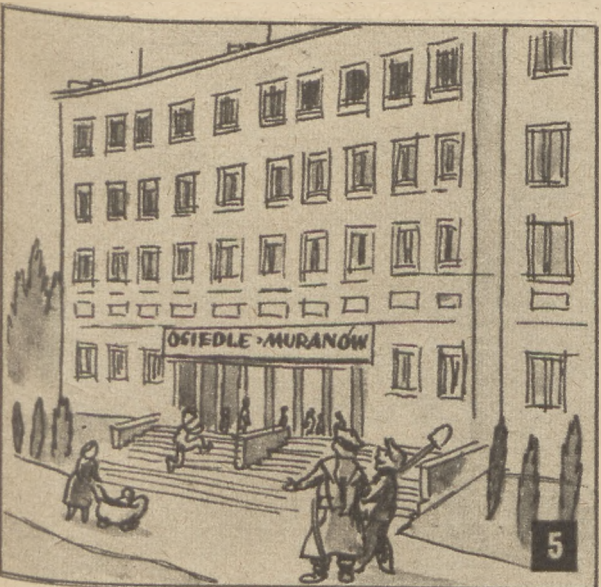


— Zacząć walkę rzecz piękna, szkoda gadać. Ale skończyć ją zwycięsko — jeszcze piękniejsza. O tam, widzisz pułkownik, stoi jeden z tych, co tę walkę zwycięsko skończyli.



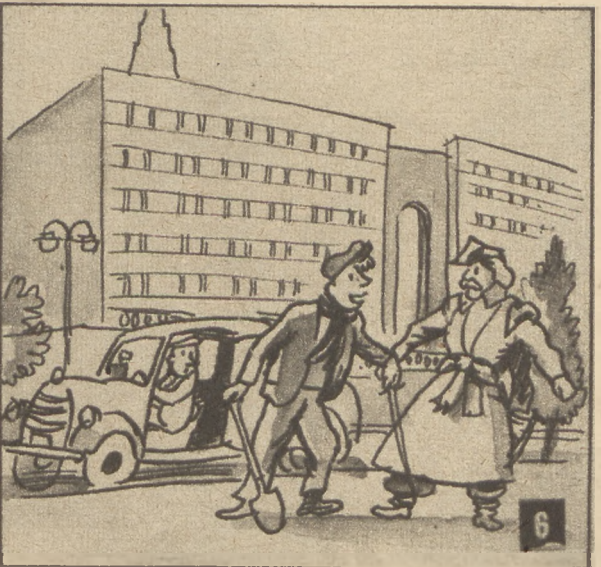
— Powiedz mi waćpan, iżbyś na zawsze w pamięci sobie zakarbował: jakie jego nazwisko i ranga?

— Na nazwisko mu było Dzierżyński Feliks. A ranga: rewolucjonista.



— O mój ty mości dobrodzieju, a cóż to za znaczne osoby w takowych pałacach zamieszkiwać muszą!

— A owszem, znaczne. Murarze, metalowcy i inny naród pracujący, co dzisiaj u nas najwięcej znaczą.



— No co jest, jak pragnę premii, takeśwki się pułkownik boisz? Taki bohater? Siadaj, to ci nie takie jeszcze cuda w naszej Warszawie pokażę!

Fotofelieton

KOTY WIEDZĄ WSZYSTKO

MILE, mruczące zwierzątko domowe, zwane powszechnie kotem, stało się dość niespodziewanie obiektem wielkiego zainteresowania ze strony Grzesia. Najpierw przyszła długa seria pytań, dotyczących kociej anatomii i zwyczajów, jak np.: dla-



czego kot miauczy a nie szczeka, czy kot już jako „dziecko“ ma wąsy, a jeżeli ma wąsy to dlaczego nie ma brody, czy kot posiada jakąś baterijkę że mu się oczy w nocy świecą — i tym podobne genialne zapytania. Do tej

chwili — przy pewnym wysiłku — można było jeszcze jakoś wybrnąć. Potem jednak sytuacja zaczynała być wręcz nieznośna i czułem, że mimo zimna występują mi na czole krople potu.

— Tatuuuu, czy koty gryzą?

— Czy gryzą? Na ogół raczej nie gryzą, Grzesiu... — odpowiedziałem z wahaniami.

— Hm... a czy koty znają się na pieczeniu ciasta?

— Ciasta! Koty? Czyś ty zbzikował, chłopcze?

— No tak. Bo wczoraj jak szedłem z mamą, to nam przebiegł drogę czarny kot i mama zatrzymała się tak nagle jakby zobaczyła diabła. I zawołała: „Kot! Kot! Ciasto mi się nie uda!“

Poczekaliśmy chwilę i przeszła przed nami jakaś kobieta. Pytałem mamy czy ta pani też piecze ciasto i czy jej się teraz nie uda i możebyśmy ją ostrzegli, ale mama powiedziała, że ją to nic a nic nie obchodzi...



Kilka sekund zbierałem myśli, jakby tu odpowiedzieć, kiedy wystrzeliło następne pytanie:

— Skąd ten czarny kot wiedział, że mama piecze ciasto?

Nie było rady. Należało zmobilizować wszystkie siły intelektualne, zgarnąć do kupy trochę mądrych myśli i wytłumaczyć:

— Bo widzisz, Grzesiu, ludzie wierzą niemądrze w różne przesady. Tak na przykład niektórzy aktorzy występujący w teatrze, kiedy przypadkiem upadnie im na ziemię tekst roli, muszą ją koniecznie przed podniesieniem przydeptać. Pilota nie wolno fotografować przed lotem, bo to podobno zły znak.



Myśliwy wierzy, że gołe kolano kobiety, dotknięte przed polowaniem, przyniesie mu szczęście. Marynarz znowu boi się bardzo, jeżeli ze statku uciekają szczury. Ludzie wierzą w znaczenie jeszcze wielu innych rzeczy, w ka-

rawan, feralną trzynastkę, kominiarza i tak dalej. Więc mama też tak z tym kotem...

Grześ dłuższą chwilę trawił postyszaną naukę, poczem powrócił do swego poprzedniego tematu:

— I poszliśmy z mamą do domu i mama bardzo się cieszyła, że ciasto będzie takie dobre. Ale już na schodach okropnie było czuć spalenizną a mama zrobiła taką dziwną minę. Wtedy ja powiedziałem, że przecież ta kobieta przeszła przed nami i że z kotem wszystko w porządku, więc niemożliwe żeby się ciasto spaliło, ale mnie mama tylko skrzyczała...

— Skrzyczała? Jak mama krzyczy to zawsze ma rację. A w przesady, jak widzisz, nie ma co wierzyć. Ty, jak już dorosniesz, to na pewno będziesz rozumny i z przesądów będziesz się śmiał, jak tatuś...

— A skąd wiesz, że ja dorosnę? — zagadnął Grześ przekornie.

— Ależ Grzesiu, jak możesz nawet... — I wskazujący palec prawej ręki sam niejako zwinął mi się i kilkakrotnie stuknął w niepomalowaną deskę pod blatem stołu.

OL-MAR

P. S. W numerze 13 (!) naszego pisma w podpisie pod fotografią z występu świetnej skrzypaczki Wandy Wilkomirskiej w Londynie, usiłowano zasugerować Czytelników, że rozgłos artystyczny zdobyła ona jako pianistka. W tym wypadku nie usprawiedliwiła nas feralna „trzynastka“ — nie jesteśmy zresztą przesądni.

(Red.).



CHŁOPIEC Z JAGNIĘTAMI

FOTOGRAFIA WEI-NAN-CZANG, KTÓRA ZNAJDUJE SIĘ
NA WYSTAWIE W MUZEUM NARODOWYM